



Anne Spencer



Słodkie oddanie

1

Atmosfera na pogrzebie była bardzo podniosła.

Mary Beth stała nieruchomo, kiedy przyjaciele jej i jej ojca przechodzili obok, składając kondolencje. Nie płakała prawie wcale. Ojciec bardzo cierpiał z powodu przedłużającej się choroby, która ciągnęła się już ponad dziesięć lat. Na początku pracował, ale przez ostatnie cztery lata był praktycznie przykuty do łóżka i Mary Beth musiała zrezygnować z pracy, aby się nim zająć. To nie miało znaczenia. Kochała ojca bardzo i cieszyła się, że w miarę możliwości, może te jego ostatnie lata jakoś rozjaśnić. Podobnie zresztą było w przypadku matki, którą również opiekowała się przez ostatni rok jej życia.

Teraz bez żalu myślała o swojej samotności i o swoich trzydziestu dwu latach. Bez rodziny i pracy, cóż mogła począć ze swoim życiem? Była przecież młodą kobietą. I chociaż wypadła z obiegu na kilka lat, ciągle jeszcze mogła znaleźć mężczyznę, którego mogłaby pokochać, a gdyby to stało się wkrótce, mogłaby mieć własne dzieci.

Jej myśli przerwała siostra ojca, Blanche, która właśnie nadeszła. Była to wysoka kobieta, solidnej budowy i o stanowczych ruchach. Zupełne przeciwieństwo ojca Mary Beth. W sytuacjach, w których on był uprzejmy i ostrożny, ciotka Blanche była szorstka, agresywna i nie znosząca sprzeciwu. Mary Beth rzadko sprzeczała się z ciotką, a jej ciągle uwagi znosiła ze spokojem.

Kiedy ciotka Blanche przystanąła, aby złożyć kondolencje, Mary Beth spostrzegła jej czerwone, podkrążone oczy. Czy to możliwe, żeby płakała? Czy to możliwe, że kochała naprawdę swojego brata, którego tak nękała za życia? A może to tylko poczucie winy? Odruchowo Mary Beth wzięła w dłonie jej rękę i musnęła ją delikatnie. Pomyślała, że jutro będzie już po wszystkim. Pozostanie sama i będzie musiała zdecydować, co z sobą zrobić. Ostry głos ciotki przerwał jej rozmyślenia:

- Chcę, żebyś pojechała dzisiaj do mnie.

Mary Beth pokiwała przecząco głową.

- Nalegam.

Kiedy to mówiła, na twarzy widać było wyraźne niezadowolenie.

- Przepraszam, ciociu, ale wolę dzisiaj zostać sama w domu.

- Kobieta samotna jak ty nie może zostać sama w tym wielkim domu.

- Może czy nie, ja zostaję, ciociu.

Poirytowana, ciotka miała wyraźną ochotę dalej stanowczo nalegać, ale przeszkodziło jej w tym zjawienie się następnego z przyjaciół rodziny, który podszedł złożyć kondolencje.

Kiedy po ceremonii Mary Beth uklękła, aby zmówić ostatnią modlitwę za ojca, czuła obecność ciotki, która cały czas nie odstępowała jej na krok. Chciała wyjść od razu, ale wiedziała, że musi na nią poczekać, bo w przeciwnym razie, ciotka rozgniewa się na dobre. Poczekała przy bramie.

- Więc, jedziesz ze mną?

Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba.

- Nie, ciociu. Mówiłam wcześniej, że chcę być sama.

- Teraz nie czas, żebyś była sama. W takich momentach potrzeba przyjaciół i rodziny, a ja jestem jedyną osobą, która ci została.

- Wiem o tym, ciociu - Mary Beth spokojnie odpowiedziała - i doceniam to, co chcesz dla mnie zrobić, ale dzisiaj chcę zostać sama.

- Jeżeli ty nie chcesz zostać u mnie, to w takim razie ja zostanę u ciebie.

Mary Beth znowu pokiwała głową. Dlaczego ciotka tak to komplikuje? Nie chciała jej zranić, a przecież musiała zostać sama. Przez ostatnie miesiące, kiedy opiekowała się umierającym ojcem, była cały czas sama. Teraz każdy głos, a szczególnie tak ochrypły, jak głos jej ciotki, musiał ją drażnić.

- Nie chcesz, żebym została z tobą? - zapytała ciotka, świadoma, że nie otrzymała odpowiedzi.

Mary Beth położyła łagodnie dłoń na ramieniu Blanche i powiedziała:

- Tylko dzisiaj, ciociu. Chcę być sama.

Ciągle rozdrażniona, ciotka Blanche dała za wygraną i odeszła, mruczając coś pod nosem.

Mary Beth pojechała do domu. Był to duży, wiktoriański dom z gankiem okalającym go z trzech stron. Lubiła to miejsce bardzo. Zaparkowała samochód i podeszła do drzwi frontowych. Do klamki przymocowana była jakaś kartka. Mary Beth wzięła kartkę i otworzyła drzwi. Włączyła światła w holu i na zewnątrz budynku. Zdjęła płaszcz i

powiesiła go na wieszaku. Dopiero teraz podniosła kartkę ze stolika założonego listami, które nadeszły po śmierci ojca. Pani Pinelli napisała, że zostawiła jej coś do jedzenia na ganku za domem. Kiedy to czytała, mimowolnie się uśmiechnęła. Kochana pani Pinelli. Zawsze pomyśli o wszystkim.

Mary Beth podeszła do tylnych drzwi i otworzyła je. Na podłodze stał przygotowany do odgrzania ronderek. Podniosła go i postawiła w kuchni na stole. Choć nie jadła kolacji, nie była głodna. Odstawiła ronderek do lodówki i zdecydowała się tylko na herbatę. Czekać aż zagotuje się woda, przechadzała się po domu, oglądając wszystko jakby po dłuższej nieobecności. Perkalowe zasłony - duma i radość matki - ciągle wisiały w oknach sypialni. Meble i dywany, aczkolwiek trochę podniszczone, tworzyły pewien nastrój. Usiadła na swoim ulubionym krześle przed kominkiem. Nie było zapalone, i zamiast na ogień, Mary Beth spojrzała na dużą czarną dziurę. Przeszedł ją dreszcz. Z powodu chłodu? A może to ta ostatnia decyzja?

Uśmiechnęła się do siebie. Nikły uśmiech, a jednak sprawił, że poczuła się trochę lepiej. Zdecydowała, że wyjedzie z Sedalii tak szybko, jak to tylko możliwe. Zdecydowała również, że wyjedzie do San Francisco. To miasto to miejsce, gdzie można znaleźć wszystko co nowe w tym kraju, a więc idealne miejsce na rozpoczęcie nowego życia. Mary Beth była spokojną osobą, zachowującą się ze znaczną rezerwą i pewne opinie, krążące na temat tego miasta i tamtejszego stylu życia trochę ją szokowały, ale wszystko wydawało się lepsze od czekania w Sedalii, aż jakiś mężczyzna wkroczy w jej życie. Większość chłopców, z którymi dorastała, już była żonata albo opuściła miasto. Gdzie i jak miałyby teraz kogoś spotkać? W życiu towarzyskim nie uczestniczyła już od paru lat. Jej nieliczne przyjaciółki zerwały z nią, ponieważ nie miały z nią już nic wspólnego. Tak, ciotka Blanche ma rację. Tylko ona jej pozostała, i z całym szacunkiem, to nie może być powód, dla którego warto spędzić resztę życia w Sedalii.

Gwizd czajnika z gotującą się wodą wyrwał ją z tych rozmyślań, więc poszła do kuchni nalać sobie herbaty.

Następnego dnia ciotka odezwała się znowu:

- Skoro ty nie pomyślałaś o gościach i rodzinie, ja musiałam to zrobić i zaprosiłam kilka osób na dzisiaj. Mam nadzieję, że przyjdiesz i weźmiesz udział w tej ostatniej uroczystości ku czci twego ojca.

- Tak - odpowiedziała lekko się ociągając.

Popołudnie ciągnęło się straszliwie dla Mary Beth, która cały czas marzyła o powrocie do siebie. Dom ciotki był dokładną kopią jej własnego, tyle tylko, że był bardziej nowoczesnie urządzone.

W końcu, kiedy wszyscy goście już wyszli, Mary Beth zaczęła pomagać ciotce zbierać naczynia i zmywać.

- Zostaw to, Mary Beth. Zajmę się tym później, a teraz chciałabym z tobą porozmawiać.

Od momentu śmierci ojca wiedziała, że ta rozmowa kiedyś się odbędzie, i obawiała się jej. Wiedziała, że ciotka Blanche umie być bardzo stanowcza i ma skłonność do wymuszania na innych tego, co sama uważa za słuszne. Mary Beth weszła do pokoju i usiadła na krześle. Ciotka Blanche weszła za nią i usiadła naprzeciwko.

- A zatem, Mary Beth, co zamierzasz zrobić ze swoim życiem?

Zdecydowała, że dzisiaj uniknie konfrontacji, i skłamała:

- Jeszcze nie wiem. Potrzebuję trochę czasu, aby przywyknąć do tego, że ojca już nie ma.

Ciotka przyjrzała się jej bardziej uważnie.

- Byłaś wspaniałą córką dla twoich rodziców. Nikt nie może temu zaprzeczyć. Teraz jednak ich już nie ma a ty nie jesteś młodą kobietą...

Blanche spostrzegła, jak Mary Beth marszczy brwi, i szybko dodała:

- Nie żebyś była stara; w żadnym wypadku. W dzisiejszym społeczeństwie... Ale spójrzmy prawdzie w oczy. Mężczyzna po trzydziestce woli kobiety po dwudziestce.

- Ciociu, ja nie rozglądam się za mężem - odpowiedziała w łagodnym proteście.

- Ja nic nie insynuuję, ale jeśli nie małżeństwo, to co? Wiem, że ojciec pozostawił ci dom i te parę dolarów. Bo przecież choroba pozbawiła go oszczędności. Tyle wiem.

Nie wiedziała. W rzeczywistości chciała wysondować Mary Beth co do jej spadku. Ciotka była uważana za kobietę dość majątną. Miała dwóch mężów i obaj zmarli wkrótce po ślubie, pozostawiając jej pokaźny majątek. Ale ciotka Blanche nie przyznałaby się do pieniędzy. Lubiła udawać ubogą wdowę. Jako że nie miała dzieci, Mary Beth była jedyną krewną, która odziedziczy kiedyś jej majątek.

Mary Beth zmagiała się z chęcią zakończenia tej rozmowy i pójścia do siebie, ale odpowiedziała:

- Nie ma się o co martwić. Jak tylko załatwię wszystkie sprawy związane ze spadkiem, poszukam jakiejś pracy.

Ciotka ożywiła się trochę i lekceważącym tonem zapytała:

- Ale co ty potrafisz robić?

Pytanie było okrutne. Sama wiedziała, że jej zdolności i możliwości były ograniczone, ale nie widziała powodu, dlaczego nie mogłaby się nauczyć pracy w biurze.

- Nie myślałam o tym jeszcze, ale pewnie coś znajdę.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz zostać sprzedawczynią w Sedalii. To byłoby bardzo nie na miejscu.

Rozzłoszczona dezaprobatą ciotki, odpowiedziała:

- Nie zamierzam nic robić w Sedalii, ciociu Blanche.

- Nie rozumiem.

Cedząc słowa z lodowatą precyzją, Mary Beth odrzekła:

- Wyjeżdżam z Sedalii.

- Wyjeżdżasz z Sedalii? - Ciotka Blanche prawie krzyknęła.

Obiecała sobie zachować spokój, przewidując zbliżający się potok słów i wyzwisk.

- Tak.

Z wielkim wysiłkiem, ale dość szybko, ciotka wstała z krzesła i nerwowo poruszając rękoma przechadzała się po pokoju.

- Nigdy... - zaczęła i gwałtownie odwróciła się patrząc nieszczęśliwie na Mary Beth, która pozostawała uosobieniem spokoju. - Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym. Wyjechać z Sedalii. Smutek musiał ci pomieszać rozum.

Zanim mogła zdobyć się na odpowiedź, ciotka ciągnęła dalej:

- Gdzież pojedziesz? I co w ogóle będziesz robić? Ten pomysł jest absurdalny.

- Na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw? - Mary Beth odpowiedziała chłodno, ciesząc się skrycie, że ciotka jest zbита z tropu.

- Myślę, że możemy sobie podarować sarkazm, moja panno.

Twarz ciotki była teraz zupełnie czerwona i Mary Beth zaczęła się obawiać, że może to się skończyć jakimś atakiem. Ostrożnie odpowiedziała:

- To nie był sarkazm, ciociu, i przykro mi, że tak to odebrałaś.

- No, może nie sarkazm - rzekła ciotka już jakby trochę udobruchana - ale chyba lekceważysz sobie pewne sprawy.

Wzruszyła ramionami. Ta rozmowa nie podobała się jej wcale i tylko lata nauki dobrych manier, przez matkę, a później ojca, sprawiły, że pozostała na krześle, a nie wyszła z pokoju.

- Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, to myślę, że pojedę do San Francisco.

- San Francisco! - wykrzyknęła Blanche i można by pomyśleć, że Mary Beth dopiero co ogłosiła z pogodną miną, że zstępuje do piekieł. Zaledwie skinęła głową, oczekując na ciotki wersję życia w San Francisco. Nie musiała długo czekać:

- San Francisco to okropne miejsce. To tam są hippisi i dzieją się te różne dziwne rzeczy. To także wylęgarnia homoseksualizmu. Nie mogę uwierzyć, że tak kulturalna młoda osoba jak ty może w ogóle myśleć o życiu w mieście, które jest amerykańską Sodomą i Gomorą.

Mary Beth pomyślała, że jeśli tak dalej pójdzie, to nic jej już nie powstrzyma. Wzięła głęboki wdech, a następnie, wolno wypuszczając powietrze, odparła:

- San Francisco jest uważane za jedno z najbardziej cywilizowanych miejsc w tym kraju. Z tego, co czytałam, to piękne miasto. Bardzo kosmopolityczne i egzotyczne.

- Kosmopolityczne i egzotyczne! - lekka czerwień znowu pojawiła się na policzkach ciotki. - Kosmopolityzm i egzotyka dla kobiety po trzydziestce!

Mary Beth wstała. Miała dość. Na odchodnym, już w drzwiach, powiedziała:

- Nie pytam o pozwolenie. Powiedziałam ci o moich planach, bo mnie o to prosiłaś.

- Twój umierający ojciec prosił mnie, bym się tobą opiekowała - protestowała Blanche.

- Wątpię. Tato wiedział, że jestem w stanie sama zadbać o siebie. W końcu, jak sama słusznie zauważyłaś, jestem dojrzałą kobietą po trzydziestce.

- Dlaczego na przykład nie St. Louis. To znacznie bliżej.

- Jadę do San Francisco. Dobranoc, ciociu. Dziękuję za gościnę.

Wyszła na ulicę zła na siebie, że pozwoliła się ciotce wyprowadzić z równowagi. Już w domu, aby się uspokoić, wzięła z półki encyklopedię i zaczęła czytać o San Francisco:

„Często pokryta gęstymi mgłami, wąska cieśnina wiodąca do wielkiej zatoki nie została odkryta ani przez hiszpańskich, ani przez portugalskich, ani przez angielskich żeglarzy opływających wybrzeża Kalifornii. Dopiero ze wzgórz na południu członkowie ekspedycji hiszpańskiego podróżnika Gaspera de Portola zobaczyli zatokę w roku 1769. 5 lipca 1775 roku statek *San Carlos*, dowodzony przez...”

Odłożyła książkę i uciekła myślami do krainy marzeń. Może i ona znajdzie swoje szczęście w San Francisco tak jak pierwsi osadnicy. Czego szukała? Sama nie bardzo była pewna. Za długo była uwięziona tutaj, opiekując się chorymi, i pomimo niebezpieczeństw, których można się spodziewać w obcym, dużym mieście, wiedziała, że potrzebuje odmiany, może jakiejś przygody. Przede wszystkim, wiedziała, że chce wyjechać z Sedalii.

2

Mary Beth zajęła miejsce w samolocie, który miał ją zabrać do San Francisco. Zadowolona była, że jest sama ze swoimi myślami. Załatwianie spraw związanych z przejęciem domu i sprzedaż mebli okazały się bardziej bolesne, niż myślała. Pomimo chwilowych wątpliwości, które ją ogarniały, wytrwała w postanowieniu do końca i teraz z dwoma walizkami ubrań jako jedynym bagażem przeszłości wyjeżdżała z Sedalii w stanie Missouri, z nadzieją, że nigdy tu nie powróci.

Olbrzymi samolot kołował w kierunku terminalu i Mary Beth, chociaż na twarzy tego nie było widać, czuła, jak krew jej pulsuje w żyłach. Oczekiwała w napięciu tego, co ma się wydarzyć. Kiedy samolot się zatrzymał, przyglądała się przez dłuższą chwilę pasażerom, którzy przelecieli z nią połowę kraju.

Po drugiej stronie siedziało dwoje młodych ludzi. Dziewczyna była w ciąży. Obydwoje nie mogli mieć więcej niż po dwadzieścia jeden lat. Dziewczyna była widocznie zmęczona, ale dobry humor partnera udzielał się jej i śmiała się również od czasu do czasu. Jakżesz oni są ze sobą szczęśliwi - pomyślała Mary Beth. Są tacy młodzi. Wkrótce będą mieli dziecko i przy tych wszystkich problemach, które ich oczekują, dotykają się i rozmawiają z miłością. Cieszyła się ich szczęściem, a jednak trochę im

zazdrościła. Nigdy w jej życiu żaden chłopak czy mężczyzna nie patrzył na nią w ten sposób. Teraz, jakby pośrednio uczestnicząc w ich szczęściu, czuła, że jest kochana.

Samolot zatrzymał się i pasażerowie zaczęli wychodzić z samolotu w lekkim zamieszaniu. Mary Beth nie spieszyła się. Nie miała gdzie iść, ani nikt na nią nie czekał. Wyszła na samym końcu, uśmiechając się do stewardesy na pożegnanie, i poszła do głównego budynku. Przechodząc koło lustra, rzuciła okiem na swoje odbicie i stwierdziła, że wygląda zupełnie nieźle. Miała na sobie brązową garsonkę, wykrojoną w stylu Chanel, jasnobrązową jedwabną bluzkę i brązowe buty. Jej ciemne, kręcone włosy spadały do ramion, a oczy promieniały.

Kiedy odebrała bagaż, pomyślała, żeby wziąć taksówkę do Domu Młodzieży Katolickiej przy Market Street, gdzie zamierzała się zatrzymać. Później zdecydowała się na tańszy autobus. Tyle tylko, że jeżeli weźmie autobus, to będzie musiała jakoś jechać dalej z końcowego przystanku. Ostatecznie - pomyślała - znajdę jakąś taksówkę.

Na lotnisku był duży ruch. Był wrzesień i mnóstwo młodych ludzi wracało po wakacjach. Idąc w kierunku autobusu, spostrzegła ponownie tych dwoje ludzi. On niósł trzy olbrzymie walizki, a ciężarna dziewczyna jedną.

Na szczęście był autobus, i po załadowaniu bagażu mogła wejść do środka i usiąść. Zajęła miejsce przy oknie, a jako że autobus nie był pełny, pomyślała, że może mieć darmowe zwiedzanie miasta. Pogoda była idealna. Słońce mocno grzało, a jednak nie było zbyt gorąco. Młodzi ludzie weszli do autobusu i usiedli obok niej, mimo że prawie cały autobus był wolny.

Dziewczyna usiadła z wyraźną ulgą. Była blada. Być może w tym stanie walizka była dla niej za ciężka. Widać było, że podróżują jak najmniejszym kosztem. Kiedy autobus ruszył, Mary Beth mimowolnie podsłuchiwała rozmowę:

- Jesteś pewien, że twoja matka mnie zaakceptuje?

- Oczywiście - młody człowiek odpowiedział z wyraźnie udawaną wesołością. -

Cóż może zrobić? Wie, że szaleję za tobą.

Mary Beth pomyślała, że jest przystojny, szczupły i ma coś żołnierskiego w ruchach. Może był żołnierzem.

- Dlaczego nie wyszli przed nas? - zapytała dziewczyna.

- Ojciec pracuje, a matka nie prowadzi.

Dziewczyna zamknęła oczy i Mary Beth była pewna, że rozmowa na tym się zakończyła. Dlatego też ze zdziwieniem usłyszała po chwili, słabszy teraz, głos dziewczyny:

- Czy to ma znaczyć, że twój ojciec nie może się zdobyć na jeden wolny dzień, żeby przywitać syna po czternastu miesiącach?

Twarz chłopaka stała się bardziej spięta.

- Wiem, że ciężko się tak podróżuje, ale niebawem będziemy na miejscu i wtedy odpoczniesz.

- Oni mnie nie chcą, prawda? - zapytała z naciskiem.

- Nie bądź idiotką. Kiedy cię poznają bliżej, będą cię kochać, tak jak ja. - W jego głosie można było wyczuć nutę desperacji, przez co Mary Beth poczuła się jeszcze mocniej z nimi związana poprzez współczucie. Chcąc się na chwilę oderwać od ich kłopotów, spojrzała przez okno i wysoko w górze zobaczyła stadion. Zastanawiała się właśnie, co to za stadion, kiedy usłyszała:

- Zobacz, kochanie, Park Candlestick, gdzie Giganci grają w baseball. Chodziliśmy tam często z ojcem.

Mary Beth dowiedziała się tego, czego chciała, ale jemu wyraźnie nie udało się zainteresować żony. Oczy miała dalej zamknięte i była bardzo blada.

W którym ona może być miesiącu - zastanawiała się Mary Beth. - Biedactwo, była tak szczęśliwa w samolocie, a teraz wygląda, jakby oczekiwało ją jakieś potworne nieszczęście.

Autobus sunął szybko w zwiększającym się z każdą chwilą ruchu na drodze, i wkrótce, kiedy znaleźli się już na przedmieściach, Mary Beth zaczęła oglądać miasto. Być może sprawił to jej nastrój i podniecenie, ale zapach miasta był inny. Przejmował ją widok niezliczonych, kolorowych budynków zawieszonych gdzieś wysoko na wzgórzach. Kwiaty były wszędzie, gdzie tylko zostało jakieś wolne miejsce. Uczucie ciepła, które ją ogarniało na ten widok, sprawiło, że była pewna, iż życie i praca w San Francisco będą się jej podobać.

Kiedy w końcu dojechali, Mary Beth poczekała, aż wszyscy wyjdą, i bez pośpiechu wysiadła ostatnia. Spora grupa czekała, aż kierowca opróżni bagażnik.

- Wskoczmy w taksówkę stąd do domu moich rodziców - usłyszała znajomy głos chłopaka, a strapiona dziewczyna odpowiedziała:

- Stać nas na to?

- Pewnie.

Widać było, że stara się trzymać fason i Mary Beth podziwiała go za ten wysiłek.

Tłum powoli rzedł, aż wreszcie tylko młoda para i ona zostali na chodniku. Podeszła do kierowcy i zapytała:

- Może mi pan powiedzieć, jak daleko stąd do Domu Młodzieży Katolickiej?

Kierowca zmarszczył brwi na moment i odparł:

- To jest na Market Street.

- Czy dojdę tam pieszo?

Uśmiechnął się szeroko: - Z tymi walizkami bym nie radził.

- Dziękuję - odwzajemniła mu się uśmiechem.

Zaczęła rozglądać się za taksówką, ale nie było żadnej w pobliżu. Nagle, z przeciwnej strony, przywołana przez młodego chłopaka, nadjechała jedna tak gwałtownie, że Mary Beth cofnęła się głębiej na krawężnik. Kierowca włożył ich bagaże do środka i odjechali. Chociaż z nimi wcale nie rozmawiała, odczuła rodzaj straty, patrząc na oddalający się samochód. Z całego serca życzyła im wszystkiego najlepszego. Widok kolejnej taksówki wyrwał ją z zamyślenia. Machnęła ręką i samochód zatrzymał się z piskiem opon. Kierowca, z szerokim uśmiechem na młodej twarzy, wyskoczył na zewnątrz i od razu spostrzegła kilkudniowy zarost. Onieśmieliło ją to trochę na początku, ale potem, widząc jego schludne ubranie, nabrała otuchy. Przypomniała sobie, że jest w San Francisco - siedlisku amerykańskiej bohemy - i przy odrobinie szczęścia przyjdzie jej spotkać różnych ludzi.

Wsiadła do środka, a kierowca uprzejmie zapytał:

- Dokąd, proszę pani?

- Dom Młodzieży Katolickiej na Market Street.

- Jest pani tutaj przejazdem?

- Nie, mam zamiar zostać na stałe.

- W DMK? - z niedowierzaniem zapytał kierowca.

Mary Beth uśmiechnęła się. - Nie na długo. Nie znam miasta i myślałam, że pomieszkam kilka dni w DMK, zanim się jakoś urządę.

- Proszę mi wybaczyć, że się wtrącam, ale z pewnością może pani znaleźć lepsze miejsce niż DMK.

- To znaczy...? - Trochę nerwowo zapytała.

Kierowca spojrział na Mary Beth w lusterku wstecznym i spytał wprost:

- Czy pani nie bardzo się wieszczę? - A nie słysząc zaraz odpowiedzi, dodał pośpiesznie: - To znaczy, czy pani jest bez pieniędzy?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, i w końcu, licząc, że kierowca nie odbierze tego jako zaproszenie do rabunku, odparła:

- Trochę mam.

- Dobrze. DMK jest w porządku, jeżeli jesteś bez grosza przy duszy i musisz gdzieś się przespać. I takich ludzi tam pani znajdzie. Znam bardziej odpowiednie miejsce dla pani. Pokoje dla kobiet, tak jak w DMK. Będzie to panią kosztować sześć dolarów nocleg za wspólny pokój albo osiem za osobny. Interesuje to panią?

- Gdzie jest ten hotel?

- Zaraz obok DMK, może parę budynków - nie więcej.

- To może przejedźmy obok, i jeżeli mi się spodoba, wejdziemy do środka. Jeżeli nie, podjedziemy do DMK.

- Załatwione.

Niebawem znaleźli się na Market Street - ruchliwej ulicy z wielką ilością sklepów, kin, teatrów i innych miejsc pełnych ludzi.

- Czy zna pani kogoś w San Francisco?

- Mam kilku znajomych - skłamała.

- To dobrze. Frisco to wspaniałe miasto, ale niedobrze tu być samemu.

Człowiekowi trudno się obejść bez przyjaciół.

Mary Beth była rozbawiona bardziej niż przestraszona tym oczywistym, choć nie wypowiedzianym zaproszeniem.

Niebawem taksówka zajechała przed biały, czteropiętrowy budynek. Kierowca wyłączył licznik.

- Czy miałby pan coś przeciwko temu, że wejdę do środka, zanim się zdecyduję?

- Ależ skąd. Jeśli nie będzie się pani podobać, podwiozę do DMK za darmo.

- Naprawdę nie trzeba - powiedziała stanowczo, nie chcąc go w żaden sposób zachęcać.

Na drzwiach zobaczyła dużą, mosiężną tablicę:

„Pokoje dla kobiet. Cranford.”

Brzmiało to dość zachęcająco. Prawie natychmiast jak weszła do holu, nie wiadomo skąd pojawiła się niska kobieta i z poważnym wyrazem twarzy zapytała:

- Czym mogę służyć? - Jej głos był obojętny.

- Taksówkarz powiedział mi, że będę mogła u pani dostać pokój.

Mary Beth mogłaby przysiąc, że twarz kobiety wykrzywiła się z niesmakiem, kiedy nadmieniła o taksówkarzu.

- Moja panno, mamy tutaj bardzo dobrą klientelę. Tylko młode kobiety na pewnym poziomie. Czy ktoś panią polecił?

- Dopiero co przyleciałam z Sedalii - to takie miasto w Missouri - odpowiedziała, trochę zbита z tropu Mary Beth.

- Dlaczego pani przyleciała do San Francisco?

- Chcę tu zacząć pracować.

- A co? Sedalia przestała pani odpowiadać?

- Nie, ale chciałam zmiany.

- A jakiej pracy pani szuka? - podejrzliwie zapytała kobieta.

- Mogę pracować w biurze.

- A gdzie pani miała zamiar się zatrzymać, zanim kierowca tu panią przywiózł?

- W DMK.

- Aha.

Spojrzała na Mary Beth krytycznie i po chwili zapewne coś zdecydowała, bo rzeczowo dodała:

- Jeśli pani chce, może pani zostać dzisiaj na noc. Jutro zobaczymy, co dalej.

Mary Beth nie wierzyła własnym uszom dziękując jej wylewnie. Wyszła na ulicę, gdzie od razu natknęła się na taksówkarza, który niedbale palił papierosa. Widząc ją, wyrzucił niedopałek i powiedział:

- Czy kobieta-smok raczyła się zgodzić?

Rozbawiło ją to trafne porównanie i wesoło odpowiedziała:

- Na okres próbny. Tylko do jutra, a potem zdecyduje, co dalej.

- To już coś. Zaniosę bagaże do drzwi.

- Dziękuję. Ile jestem panu winna?

Przystanął na chwilę i spojrzał na licznik.

- Dwa dolary osiemdziesiąt pięć.

Wyciągnęła pięciodolarowy banknot z torebki, i jak tylko postawił walizki na chodniku, podała mu.

- Reszty nie trzeba.

- Nie - zaprotestował - to za dużo.

- Proszę.

- Okay, jeśli chce pani szastać pieniędzmi, to dlaczego mam mieć coś przeciwko temu. Nie mogę wnieść walizek do środka. Żaden mężczyzna nie może przekroczyć tych świętych progów.

Mary Beth uśmiechnęła się znowu.

- Myśli pani, że żartuję. Proszę poczekać, aż kobieta-smok przedłoży pani regulamin. To dziewiętnasty wiek.

- Dziękuję panu bardzo, panie ... - Była tak wdzięczna, że chciała to w jakiś sposób zaznaczyć.

- Proszę mi mówić: Bill - powiedział z uśmiechem.

- Dziękuję, Bill.

- Do usług, łaskawej pani - odpowiedział w lekkim ukłonie, wyraźnie bawiąc się słowami i gestem, wskoczył do samochodu i odjechał.

Poczekwała, aż samochód zniknie za zakrętem, po czym wzięła walizki i weszła do środka.

Kobieta siedziała dalej w recepcji, tak jak wtedy, kiedy Mary Beth wyszła. Podała jej książkę meldunkową i zapytała:

- Chce pani jedynekę czy dwójkę. Osiem albo sześć dolarów.

- Może... na pierwszy dzień wolałabym osobny pokój.

Skinęła głową i coś zanotowała. Odwróciła się i z jakiejś skrytki pod blatem wyjęła klucz. Podając go Mary Beth powiedziała:

- Tego klucza pod żadnym pozorem nie wolno wynosić. Również, cokolwiek by się działo, nie wpuszczamy mężczyzn do środka. Drzwi wejściowe są zamykane dokładnie o północy, a otwierane dopiero o szóstej rano. Nikomu nie wolno zostać gdzieś na noc, chyba że jest to związane z pracą, a i tak za moim pozwoleniem. Jakikolwiek złamanie tych zasad będzie dla mnie wystarczającym powodem, aby panią poprosić o wymeldowanie. Rozumiemy się, pani Anderson?

- Tak, pani...?

- Cranford.

- Tak, rozumiemy się, pani Cranford.

- W tyle korytarza jest winda. Nie mamy obsługi, więc musi pani sama zabrać swoje bagaże na górę.

- Oczywiście; to żaden problem, proszę pani.

Pani Cranford spojrzała na nią badawczo. Mary Beth podniosła obie walizki i pospiesznie odeszła w stronę windy.

- Zapomniała pani zapytać, które piętro.

Teraz już zupełnie wytrącona z równowagi, poczuła z zakłopotaniem, że się czerwieni na twarzy.

- Trzecie piętro. Ostatnie drzwi na lewo, jak pani wyjdzie z windy.

- Dziękuję pani.

Już w windzie, odetchnęła z ulgą. W gruncie rzeczy była wdzięczna pani Cranford za to, że pozwoliła jej zostać, a jeszcze bardziej cieszyła się ze spotkania z miłym i przyjaznym taksówkarzem pośrodku tego obcego, ruchliwego miasta. Pani Cranford przypominała jej ciotkę Blanche, co również, z dala od domu, mimo oczywistych przykrych skojarzeń, było w pewnym sensie przyjemnym uczuciem.

Zauważyła, że korytarze są nieskazitelnie czyste. Podobnie jej pokój, który, jak na pokój hotelowy, był stosunkowo mały, choć zupełnie odpowiadający jej potrzebom. Łóżko z domowej roboty kołdrą, biurko i wygodny fotel, tworzyły całość umeblowania. Na oknach, jak podejrzewała, wisiały perkalowe zasłony.

Usiadła w fotelu myśląc, że, ogólnie biorąc, dzień należy zaliczyć do udanych, i cicho powiedziała do siebie:

- Chyba polubię to miasto. Żeby tylko ono mnie też polubiło!

3

Następnego ranka Mary Beth obudziła się świeża i wypoczęta. Po nocy niezmaconej żadnym przykrym snem, pomarudziła trochę w łóżku. W końcu nic nie zmuszało ją, żeby od razu wstawać i coś robić. Chociaż obiecywała sobie zająć się poszukiwaniem pracy natychmiast po przyjeździe do miasta, to przecież - tłumaczyła sobie - nie mogła nic zacząć, dopóki, około dziewiątej, nie rozpoczną się normalne godziny urzędowania.

Podniosła się z łóżka, wzięła przybory toaletowe i poszła do łazienki przy końcu korytarza. W drodze spotkała pogodną, młodą dziewczynę o rudych włosach, która uśmiechnęła się na jej widok.

- Cześć, jestem Cynthia.

- Cześć. Mary Beth.

Pierwsza do drzwi łazienki dotarła Mary Beth. Po naciśnięciu klamki okazało się, że drzwi były zamknięte, więc pytająco spojrzała na Cynthię. Ta, z szerokim uśmiechem odsłaniającym jej białe, równe zęby, wyjaśniła:

- Kto pierwszy, ten lepszy; ale dziewczyny są w porządku. Żadna nie przesadza rano w łazience, bo wszystkie idziemy do pracy.

- Ile dziewczyn jest na piętrze?

- Dwanaście, jeżeli wszystkie łóżka są zajęte. - I widząc jej zdumioną minę szybko dodała: - Tylko sześć na każdą łazienkę. Są dwie, po obu końcach korytarza.

- Aha.

Młoda kobieta w pośpiechu wybiegła z łazienki, rzucając coś jako wyjaśnienie.

- Co jest, Joan. Spóźniona?

- No. - I wpadła szybko do jednego z pokoi.

- Twoja kolej.

- Możesz iść pierwsza. Ja nie idę do pracy, nie muszę się spieszyć.

- Na pewno? - Cynthia jeszcze się wahała.

- Pewnie. Wchodź! Wrócę do pokoju, a ty zapukasz, jak skończysz.

- Nie. Tak się nie da. Jak chcesz wejść po mnie, musisz stać przed drzwiami, kiedy wyjdę. Takie reguły.

- No dobrze. Jakoś sobie poradzę.

- Jeszcze raz. dzięki. Jak nikogo nie będzie przed drzwiami, kiedy wyjdę, zastukam do ciebie.

- Dzięki, Cynthia.

Wróciła do pokoju, myśląc, że z Cynthią będzie można dojść do porozumienia. Spojrzała na zegarek - była 7.45. Jedną z pierwszych rzeczy, które chciała dzisiaj zrobić, była rozmowa z panią Cranford na temat jej pobytu tutaj, przynajmniej do czasu, aż znajdzie coś na stałe albo pracę. Miała dość pieniędzy, ale wolała je odłożyć, i nie korzystać z nich tak długo, jak to tylko możliwe.

Po krótkiej rozmowie zgodziły się z panią Cranford co do kosztów wynajmu. Mary Beth wyjęła z torebki czeki podróżne i podpisała jeden na 50 dolarów. Podała go pani Cranford, która ostrożnie wzięwszy go do rąk, przyglądała mu się przez moment, po czym zapytała:

- Czy nie zapomniała pani o czymś, pani Anderson?

Zakłopotana i trochę zdziwiona Mary Beth odpowiedziała pytającym spojrzeniem:

- O czym?

- Za poprzedni dzień powinna pani zapłacić osiem dolarów plus podatek.

- Tak. Przepraszam. - Wyjęła z torebki banknot dziesięciodolarowy, z którego otrzymała półtora dolara reszty.

- Czy mogłabym jeszcze o coś zapytać?

- Tak?

- W której gazecie znajdę najlepsze ogłoszenia?

- Ja czytam „San Francisco Examiner”. Może ją pani przeglądnać w barze obok.

Wyszła z hotelu z mieszanymi uczuciami. Hotel wydawał się czysty, bezpieczny i niedrogi, ale jak długo mogła znieść panią Cranford, która traktuje ją jak licealistkę. Po wyjściu zdała sobie sprawę, że zapomniała zapytać, w którą stronę ma skręcić. Miała się właśnie zdecydować, gdy zobaczyła Cynthię wychodzącą na zewnątrz. Rozglądała się za taksówką i widząc Mary Beth z szerokim uśmiechem powiedziała:

- Jestem spóźniona.

- Cynthia, gdzie jest najbliższy bar?

- Tam - wskazała na pobliskie skrzyżowanie.

- Dzięki - odpowiedziała Mary Beth i odeszła we wskazanym kierunku. Po chwili usłyszała z tyłu przystający na chwilę samochód. Odwróciła się i zobaczyła Cynthię wsiadającą do taksówki. Samochód przyspieszył z charakterystycznym wyciem silnika, a Mary Beth zastanawiała się, czy to możliwe, żeby kierowcą był ten sam Bill, który przywiózł ją wczoraj do hotelu.

Weszła do czystego i ładnie urządzonego baru. Kupiła gazetę i kawę z grzankami. Po chwili jednak przypomniała sobie, że poprzedniego dnia nie jadła obiadu, więc powinna zjeść coś bardziej konkretnego, zwłaszcza że nie miała pojęcia, co będzie robić w porze obiadowej.

- Przepraszam, czy mogę zmienić zamówienie na jajecznicę z szynką plus kawa i grzanki - powiedziała głośno do młodego mężczyzny za ladą.

- Czujemy głód, prawda?

- Chyba tak.

- Już podaję - odpowiedział z uśmiechem.

W barze było kilka osób na śniadaniu. Niektórzy czytali gazety. Mary Beth postanowiła odłożyć przeglądanie ogłoszeń na potem, kiedy wróci do pokoju. Gdy dostała jajecznicę, zaczęła od razu jeść z apetytem i prawie nie zauważyła, kiedy wszystko zniknęło z talerza. Właśnie się zastanawiała, czy ma zamówić następną kawę, kiedy usłyszała znajomy głos:

- Cześć, Max. Jak leci, Mabel? O, dzień dobry, pani.

- Cześć, Bill.

Była zaskoczona ciepłym przyjęciem ze strony kobiety. Ale dlaczego nie? Był młody, miły i jak na razie więcej niż uprzejmy.

- Powie mi pani teraz, jak ma na imię? To nasze drugie spotkanie i nie jesteśmy już dla siebie obcy - powiedział do niej mrugając okiem.

- Mary Beth Anderson - odpowiedziała ze śmiechem.

- Mój Boże, czy to ma znaczyć, że są jeszcze ludzie, którzy się tak nazywają? Zarumieniła się. Jej imię było staromodne.

- Hej, przecież tylko żartuję.

- Wiem.

- Max, daj mi coś do jedzenia i kawę. Tylko biegiem; wiesz, że nic nie zarobię oglądając twoje piękne oblicze.

- A co? Nie podoba ci się? Pomyśl, jak ja się czuję oglądając co rano takie brodate cudo.

- Bądź dla mnie miły, bo zmienię lokal.

- Broń Boże! - Max udał przerażenie.

- I jeszcze filiżankę dla pani.

- Do usług, szanownemu panu - odparł Max, zabierając filiżankę Mary Beth ze stołu i wymieniając z nią porozumiewawcze spojrzenie. Było jasne, że do takiej wymiany zdań musiało dochodzić co rano.

Max przyniósł kawę. Mary Beth pomyślała, że może lepiej byłoby wyjść. Może lepiej nie nawiązywać żadnych przyjaźni. Ale z drugiej strony, co w tym złego?

- Jak tam kobieta-smok?

- Nieźle. Przedstawiła regulamin, tak jak mówiłeś, ale dzisiaj pozwoliła mi zostać na tydzień.

Zmienił ton na nieco poważniejszy:

- To dobrze. Pomimo jej dziwactw prowadzi porządny hotel. Stosunkowo tani i bezpieczny. Co jest dla ciebie ważniejsze?

- Skąd wiedziałeś o hotelu?

- Niech mi będzie wolno przedstawić człowieka, który wie wszystko o San Francisco - powiedział wskazując na siebie z miną mówiącą, że wrócił do typowego dla niego tonu. - A tak naprawdę, czy spotkałaś Cynthię?

- Taka ruda, ładna?

- No właśnie. Cóż... czasami, kiedy ma się ochotę powłóczyć, pozwala mi się gdzieś zaprosić i tak też usłyszałem o jedynym hotelu w tym mieście, w którym pielęgnuje się cnotę.

- I dobrze się stało. Jestem naprawdę z niego zadowolona.

Max postawił przed nim górę naleśników, które ten bez większych ceregieli zaczął pałaszować w niesamowitym tempie. Mary Beth, uczona jeść powoli i ostrożnie, nie mogła się nadziwić, że się nie krztusi. Kiedy skończył, wyprostował się i zaczął ręką masować brzuch.

- To było boskie. Jeszcze kawy, Max. Ty też?
- Nie, więcej nie. Już miałam swoją dzienną dawkę.
- Co masz zamiar dzisiaj robić? Zwiedzanie miasta?
- Może. Myślałam o przeglądnięciu ogłoszeń. Muszę rozejrzeć się za pracą.
- A co potrafisz?
- Niewiele - wyznała - trochę pisać na maszynie, może coś w biurze.
- Pracowałaś wcześniej?
- Byłam sekretarką w firmie prawniczej.
- To tego powinnaś szukać; masz doświadczenie.
- A jeżeli nie będzie takich ofert?
- Jak zaczniesz szukać z takim nastawieniem, to niczego nie znajdziesz. Masz się czego trzymać, to próbuj. Na pewno coś się znajdzie.

Była to dobra rada i Mary Beth była wdzięczna, że ten rezolutny młody człowiek pojawiał się zawsze wtedy, kiedy tego potrzebowała. Uśmiechnęła się szczerze i ciepło.

- To dobra rada, Bill. Spróbuję się dostosować, przynajmniej dopóki mam pieniądze.

- No tak, znowu te pieniądze. Czy to nie okropne, że wszystkie nasze decyzje muszą zależeć od pieniędzy. Przeważnie dlatego, że nie mamy żadnych, albo też większość wydajemy na podstawowe potrzeby.

- To prawda - zgodziła się, chociaż w jej życiu nigdy nie było okresu, w którym pieniądze byłyby problemem. Rodzice mimo choroby nigdy nie narzekali na ich brak, a ona nigdy nie czuła ograniczeń spowodowanych pieniędzmi. Może dlatego, że nie miała dużych potrzeb.

- No to na razie. Trzeba wracać do pracy.

- Do zobaczenia Bill, i dziękuję.

Ponownie uklonił się ostentacyjnie i z uśmiechem odrzekł:

- Zawsze do usług.

Spostrzegła, że Mabel i Max przyjmowali jego błazeństwa z upodobaniem.

W chwilę po jego wyjściu Mary Beth również udała się do hotelu. Zatrzymała się w recepcji po klucze, które pani Cranford podała bez słowa. Dlaczego ona była taka wyniosła, tak różna od Billa? Mary Beth wzruszyła ramionami. Pewnie hotelarka miała

swoje powody. Nie powinnam być tak krytycznie nastawiona - pomyślała Mary Beth. W końcu, przed przyjazdem tutaj, w Sedalii, sama była wyniosła i skryta. Wielu uważało, że jest snobką. Ale nie była; była tylko bliżej prawdy.

W pokoju zaczęła sumiennie przeglądać ogłoszenia. Było wiele oferujących pracę dla sekretarki znającej stenografię. Ona tego nie potrafiła. Ledwie nadawała się na maszynistkę, bo chociaż znała klawiaturę, to przecież nie pisała już od kilku lat. Zaczęła się już zniechęcać, kiedy zauważyła drobne ogłoszenie:

Młoda, atrakcyjną kobietę przyjmę do pracy sekretarki w znanej firmie prawniczej.

G. Coleman - Pośrednictwo pracy.

Dalej numer telefonu. Zakreśliła ogłoszenie i przeglądała dalej gazetę, ale jej oczy ciągle wracały do tego jednego, które przypadło jej do gustu. Zdecydowała, że zadzwoni. Zabrała torebkę i zeszła na dół. Automat znalazła w rogu, niemal skryty zupełnie za olbrzymią palmą. Wykręciła numer.

- Pośrednictwo pracy Coleman, słucham?
- Dzwonię w sprawie ogłoszenia dotyczącego pracy sekretarki w firmie prawniczej.
- Musi się pani zgłosić do biura na rozmowę kwalifikacyjną.
- Rozumiem.
- Biura znajdzie pani na Powell Street 706.
- Kiedy można tam przyjść?
- W każdej chwili.
- A czy oferta jest dalej aktualna?
- O ile wiem, tak.
- Dziękuję.

Mary Beth odłożyła słuchawkę czując jakiś dziwny niepokój, chociaż nie potrafiła sprecyzować, czego się obawiała. Doszła do wniosku, że nie ma co marnować czasu. Pójdzie tam od razu, i bez względu na to, co się stanie, będzie mogła po południu zwiedzać miasto.

Ubrała się starannie i ponownie zeszła na dół. Przez chwilę rozglądała się za panią Cranford, aby się dowiedzieć, jak można dojechać na Powell Street. Starszej pani nigdzie nie było widać. Zamiast niej zobaczyła w recepcji nienagannie ubranego starszego mężczyznę. Była zaskoczona, pamiętając zakazy właścicielki. Kiedy podeszła bliżej,

mogła stwierdzić, że mimo wieku i niezmiernie wychudzonej figury miał rumianą twarz o ruchliwych niebieskich oczach. Z uśmiechem zapytał:

- Czy mogę w czymś pomóc, pani Anderson? Skąd on może wiedzieć, jak się nazywam? Może to mąż? - I zanim zdążyła sobie odpowiedzieć, mężczyzna ją wyręczył:

- Nazywam się Reginald Bently, brat pani Cranford.

Mary Beth odpowiedziała mu uśmiechem.

- Może mi pan powiedzieć, jak się dostać na Powell Street?

- A pani może mi powiedzieć, co pani zamierza tam robić?

Pomyślała, że to bardzo nietaktowne z jego strony, ale odpowiedziała:

- Zamierzam iść do biura pośrednictwa pracy.

- A gdzie się pani dowiedziała o tym biurze?

- Z ogłoszenia w gazecie - odpowiedziała jeszcze bardziej wzburzona.

- Proszę wybaczyć, że się tak dopytuję, ale pani nie zna miasta, a Powell Street nie cieszy się dobrą opinią.

- Rozumiem.

- Tak czy inaczej, po wyjściu z hotelu w prawo dojdzie pani do Market Street.

Później prosto Market Street aż do Powell.

- Czy to daleko?

- Nie. Przyjemny spacer.

- Dziękuję panu bardzo.

- Nie ma za co, i... powodzenia.

- Dziękuję jeszcze raz.

Wyszła z hotelu i skręciła w kierunku wskazanym przez pana Bently'ego. Na Market Street rzeczywiście stwierdziła, że ta okolica nie wygląda tak atrakcyjnie z bliska, jak się mogło wydawać na początku z taksówki. Ulice były brudniejsze, a ludzie nie tacy, z jakimi ona zazwyczaj przebywała. Zastanawiała się, czy tak było naprawdę, czy pod wpływem tego, co usłyszała, patrzyła teraz surowszym okiem na okolicę.

Doszła do Powell Street i odszukała numer podany przez kobietę. Zaskoczyło ją, że był to hotel. Duży i dobrze utrzymany od zewnątrz, ale dlaczego firma miałaby umieszczać swoje biura w hotelu? Nie mogąc się zdecydować, zaczęła się przechadzać tam i z powrotem przed wejściem. Chciała się bliżej przyjrzeć ludziom na ulicy i musiała

stwierdzić, że wcale nie byli inni od tych, których znała z Sedalii. W końcu, zupełnie pozbywszy się obaw, weszła do środka.

W holu kręciło się kilka osób. Niektórzy z mężczyzn od razu odwrócili się do niej i nie przestawali jej obserwować. Zignorowała ich i podeszła prosto do recepcji. Zapytała recepcjonistę o biuro.

- Na piętrze. Winda jest z tyłu.

Nie podobał się jej sposób, w jaki na nią patrzył, ale znowu przypisała to nastrojowi wywołanemu słowami pana Bentley'ego. Wsiadła do windy i wjechała na górę.

Tam zdała sobie sprawę, że jest na balkonie, skąd może patrzeć w dół na hol. Nie wiadomo czemu, poczuła się dzięki temu lepiej. Na wycucie skręciła w lewo i doszła do drzwi biura pośrednictwa. Weszła do środka, do małej poczekalni, w której były tylko trzy brzydkie fotele pokryte imitacją skóry. Za balustradą, przy biurku, siedziała wymalowana otyła kobieta. Podniosła oczy i zapytała:

- O co chodzi?

- Nazywam się Mary Beth Anderson. Dzwoniłam wcześniej w sprawie ogłoszenia.

- Okay - odpowiedziała, lustrując Mary Beth z góry na dół i podając jej jakieś formularze dodała: - Możesz to wypełnić przy biurku.

Mary Beth wzięła je niechętnie i weszła za balustradę. Miała ochotę wyjść, ale właściwie nic się nie stało takiego, co by mogło to usprawiedliwić. Byłoby głupio, toteż zabrała się do wypełniania formularzy.

Kiedy skończyła, podała je kobiecie bez słowa. Ta wzięła je i poprosiła, żeby usiadła i poczekała. Przeglądała je przez chwilę, po czym zapytała:

- Nie wolno nam oficjalnie pytać o wiek ale... pozwolisz mi zapytać, ile masz lat?

- Trzydzieści jeden.

- Nie wyglądasz. Dałabym najwyżej 24. Dlaczego nie pracowałaś przez ostatnie cztery lata?

- Zajmowałam się chorym ojcem.

- Rozumiem - pokiwała głową.

Mary Beth poczuła, że jest odrzucona.

- Poczekaj moment. Zaniosę twoje podanie do pana Symonsa.

Wstała z ogromnym wysiłkiem i weszła do pokoju obok. Mary Beth była przekonana, że nie dostanie tej pracy i że właściwie niepotrzebnie zawraca wszystkim głowę.

- Pan Symons czeka na ciebie.

Zaskoczona, zerwała się z fotela i szybko weszła do pokoju obok. Momentalnie odrzucił ją widok nie tylko szkaradnego mężczyzny siedzącego za biurkiem, ale i całego niechlujnego biura.

- Pani Anderson, proszę usiąść - rzekł gładkim, służalczym tonem. Był niski, gruby i prawie łysy poza kilkoma kępkami tłustych włosów. Czarne, krótkie wąsiki podkreślały zaciętość na twarzy. Przeglądając pobieżnie formularze spojrzał na Mary Beth:

- Dlaczego chce pani pracować w biurze?

- Lubię pracę między ludźmi - odparła niezdecydowanym głosem.

- Dopiero co przyjechała pani do miasta?

- Tak.

- A rodzina?

- W Sedalii.

- A cóż to takiego!?

- Tam mieszkałam - z gniewem w głosie odpowiedziała.

- Bez obrazy; ja tylko pytam.

Przez jakiś czas udawał, że przegląda jej papiery, po czym, jakby się nagle na coś zdecydował, powiedział wprost:

- Taka ładna dziewczyna jak ty może w tym mieście znaleźć o wiele lepszą pracę niż praca w biurze.

Wpadła w panikę. Teraz już na dobre była zdecydowana wyjść. Podniosła się z krzesła mówiąc:

- Zmieniłam zdanie. Nie chcę tej pracy.

Symons był szybszy i zagroził jej wyjście.

- Gdzie się tak spieszysz, kochanie? - Był jakby zadowolony z siebie teraz, kiedy wszystko stało się jasne.

Przestraszona na dobre poprosiła drżącym głosem:

- Proszę mi pozwolić przejść.

Był tylko odrobinę wyższy, ale było jasne, że nie uda się jej przedrzeć.

- Po co ten pośpiech, kochanie? - powtórzył ściskając ją za ramię.

- To boli! Puść mnie! - mimowolnie podniosła głos.

Symons zatkał jej usta dłonią w momencie, kiedy właśnie miała zacząć krzyczeć.

Mary Beth skamieniała w bezruchu. Czowała jego brudną dłoń i cuchnący oddech na twarzy.

Dla niej był to prawie koniec świata.

- Nie waż się podnosić głosu - warknął groźnie.

Starła się nie zemdleć. Pomyślała, że jeżeli zdoła zachować przytomność umysłu, to może uda się jej jakoś wymknąć. Trochę się rozprężyła, co Symons wziął za dobrą monetę:

- Dobra dziewczyna. Nie bój się - nie skrzywdzę cię. Jesteś zbyt cenna, żeby cię krzywdzić.

Jednocześnie w połowie przeniósł ją, a w połowie przeciągnął na sofę. Nie opierała się.

- Nie skrzywdzę cię. Ja tylko chcę zobaczyć jaka naprawdę jesteś - mówiąc to, zaczął powoli przesuwając ręce po jej ciele.

Zesztywniała znowu, ale Symons był tak zajęty tym, co robi, albo tym, co robić zamierzał, że zwolnił chwyt. Wyteżając wszystkie siły, odepchnęła go od siebie i rzuciła się w kierunku drzwi. Symons zaklął upadając na podłogę i zanim zdążył się na nowo podnieść, była już na zewnątrz. Szybko odnalazła schody. W każdej chwili spodziewała się, że ją znowu dopadnie, chociaż nawet nie wiedziała, czy za nią wybiegł. Zbiegła na dół nie odwracając się za siebie. Kiedy mijała recepcję, wydawało się jej, że mężczyzna w głębi głupio się uśmiecha. Wszystko to trwało sekundy. Chciała się jak najszybciej znaleźć na ulicy. Dopiero tam poczuła się bezpieczniej, ale nie zwolniła kroku, aż do rogu Market Street. Znalazła się wśród tłumu, który teraz przestał być nieokreślony. W każdym spojrzeniu widziała pożądanie. Wiedziała, że to zdenerwowanie, ale z drugiej strony nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyła. Nie mogła uwierzyć, że ludzie mogą tak postępować.

Wzięła klucz od pani Cranford i wiedząc, że jest zbyt roztrzęsiona, aby dać jakieś sensowne wyjaśnienie, zignorowała jej pytające spojrzenie.

Już bezpieczna, w pokoju rzuciła się na łóżko i zaczęła płakać. Bardziej niż po śmierci ojca. Nie zdawała sobie sprawy, jak długo płacze, aż w końcu zasnęła ze zmęczenia. Jej ostatnią myślą było to, że San Francisco nie jest już takim miastem, jakim było wcześniej.

4

Całe popołudnie i wieczór spędziła w pokoju, nie wychodząc nawet na obiad i kolację. Obudziła się wcześnie następnego ranka i poszła do łazienki. Przed drzwiami czekała Cynthia.

- Cześć, Mary Beth.

- Dzień dobry, Cynthia - jej głos był posepny. Czuła, że Cynthia przygląda się jej uważnie i zdecydowała, że wróci do pokoju, ale ona przytrzymała ją za rękę.

- Stało się coś? Nie wyglądasz najlepiej.

- Nie, nic - skłamała.

- Na pewno? Zupełnie kogoś innego spotkałam tu wczoraj.

- Niedobrze spałam - powiedziała bez przekonania.

- W porządku, jak chcesz, ale gdybyś potrzebowała ramienia, żeby się na nim wypłakać, pamiętaj, że jestem zawsze pod ręką.

- Dzięki, Cynthia.

- Słuchaj, jestem dziś wyjątkowo wcześnie, co oznacza, że mogę zjeść śniadanie u Maxa, zanim pojedę do pracy. Dlaczego nie miałybyśmy zjeść śniadania razem. Przecież musimy się bliżej poznać.

Wahała się. Głupio jej było, że taka młoda dziewczyna jest jej oparciem, ale ostatecznie, przyjemniej zjeść śniadanie w towarzystwie niż samej.

- Okay.

- Dobra. Spotkamy się u Maxa.

Kiedy drzwi się otwały, Cynthia weszła do środka dorzucając jeszcze:

- Nie wracaj do pokoju. Ja tylko na moment - prysznic brałam wieczorem.

Kiedy weszła do baru, Cynthia gawędziła z Maxem i Mabel, tak jak Bill poprzedniego dnia. Widać było, że to ich stałe miejsce. Mary Beth zamówiła jajka z szynką.

- Możesz to jeść? Jak ja spróbuję coś poza dżemem, od razu grubnę.

Chcąc się jakby wytłumaczyć, wyjaśniła:

- Nic nie jadłam od wczoraj rano.

- Oszczędzasz?

- Nie - i zanim się sama zdążyła zorientować, opowiedziała dokładnie, co jej się przydarzyło poprzedniego ranka.

- O Boże, musiałaś to strasznie przeżyć. Dobrze, że się to w ten sposób skończyło.

- Nie rozumiem, jak oni mogą się ogłaszać w normalnej gazecie i uchodzi im to na sucho.

- A cóż im można zrobić? Dlaczego ktoś miałby uwierzyć tobie, a nie jemu?

- To nie fair.

- Fair? - Cynthia uśmiechnęła się - a co jest fair na tym świecie? Trzeba walczyć o wszystko.

Mary Beth pokiwała głową, kiedy Cynthia już wstawała od stołu.

- Muszę lecieć; mój kierowca czeka.

Odwróciła się do okna i zobaczyła Billa, który rozpaczliwie wymachując rękami, starał się ją przywołać.

- Najlepsze pośrednictwo pracy w mieście to Bowles and Bowles. Idź do nich.

Nigdy nic nie wiadomo. Może szukają kogoś takiego jak ty.

- Dzięki, Cynthia.

- Nie ma za co. Baw się dobrze.

- Ty też.

- Jeszcze filiżankę kawy?

- Tak, proszę.

Max nalał jej kawy i zaczęła przeglądać ogłoszenia. Czytając, poczuła na sobie czyjś wzrok. Podniosła głowę i zobaczyła przystojnego mężczyznę, który się w nią wpatrywał. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, uśmiechnął się. Spuściła szybko głowę w zakłopotaniu, ale zapamiętała oczy. Były niebieskie. Mężczyzna nie był tak młody jak

Bill, ale był dojrzały. Ukradkiem zerkała w jego kierunku, ale gdy to zauważył i uśmiechnął się ponownie, wróciła do ogłoszeń. Po chwili wyszedł, mówiąc coś na pożegnanie do Maxa i Mabel. Natychmiast Max zjawił się przy jej stoliku.

- George chciał się dowiedzieć, kim pani jest.

- George? - powtórzyła udając, że nie ma pojęcia, o kogo chodzi.

- Ten, co właśnie wyszedł.

- No i...?

- No i musiałem mu powiedzieć, że jest pani tu nowa i nie wiem, jak się pani nazywa.

- Mary Beth Anderson. Mary Beth wystarczy.

- Jestem Max.

Uśmiechnęła się dopijając kawę. Chociaż było przyjemnie, nie mogła tu siedzieć bez końca. Trzeba iść za radą Cynthii i spróbować w Bowles and Bowles. Kiedy wychodziła, taksówka Billa podjechała pod bar.

- Hej, dokąd idziesz?

- Wracam do siebie.

Podbiegł do niej: - Nie zjemy razem śniadania?

- Właśnie skończyłam. Jadłam z Cynthią.

- Tak, wiem. Opowiedziała mi, co ci się wczoraj przytrafiło. Paskudna sprawa. Obiecuj mi, że zanim się na coś znowu zdecydujesz, pogadasz ze mną albo z Cynthią, dobrze?

Poruszyło ją to: - Dobrze, dziękuję, Bill. Cynthia powiedziała mi, gdzie mam się zgłosić.

- W porządku. Ale pamiętaj: zanim gdzieś pójdziesz, najpierw my. A teraz, może chociaż kawa?

- Naprawdę, Bill, powinnam już iść.

- No to może, skoro nie jest mi dane zjeść śniadania z tobą, mógłbym ci pokazać miasto. Podjadę o siódmej i wybierzemy się na Fisherman's Wharf. Zjemy jakąś rybę i pospacerujemy trochę.

Wahała się przez moment. Był dużo młodszy od niej. Ale przecież nie było w tym nic złego. Miała tylko jedno zastrzeżenie:

- Powiem tak, jeżeli płacimy po połowie.
- Za kogo ty mnie bierzesz?
- Za dobrego przyjaciela i nie chcę, żebyś wydawał na mnie pieniądze.
- Moim obywatelskim obowiązkiem jest przywrócić twoją zachwianą wiarę w to miasto. Nalegam na płacenie.
- Nie, Bill. Pójdę tylko pod tym warunkiem.
- No dobrze, skoro nalegasz - zgodził się z rezygnacją.
- Nalegam.
- Do siódmej, w takim razie.

Czuła się na tyle pewna tego wieczoru, aby ubrać jeansy i szykowną bluzkę, którą kupiła po południu. Bill musiał być co najmniej osiem lat młodszy, czego była aż nazbyt świadoma. Ale wiek kalendarzowy się nie liczył. To, co miało znaczenie, to była dojrzałość, a musiała się przyznać, że od przyjazdu tutaj, jej zachowanie było bardziej dziecinne niż Billa.

Była zadowolona z wrażenia, jakie wywarła w firmie Bowles and Bowles. Kobieta, z którą rozmawiała, była uprzejma i szczerza wyjaśniając jej trudności, które może napotkać szukając takiej pracy, jaką chciała dostać, przy jej ograniczonych kwalifikacjach. Na koniec obiecała, że przegłędnie wszystkie oferty i oczywiście skontaktuje się, jak tylko coś się pojawi. Aczkolwiek nie należało sobie wiele obiecywać, Mary Beth czuła, że wywiązała się ze swojej roli dobrze.

Właśnie miała nałożyć szminkę, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Zdziwiona, zaprosiła do środka:

- Proszę.
- Cześć, Mary Beth. Gotowa na randkę z kochankiem? - Do pokoju weszła Cynthia z nieodłącznym uśmiechem na twarzy.

Nie mogła się doszukać ani odrobiny sarkazmu w tym, co mówiła Cynthia, a jednak była ciekawa, czy to, że wychodzi z Billem, sprawia jej przykrość. Jej myśli musiały się odbić na twarzy, ponieważ Cynthia zaraz dorzuciła:

- Cokolwiek sobie myślisz, zapomnij o tym. Bill to miły chłopak i lubię go bardzo, ale ani on nie należy do mnie, ani ja do niego.

Mary Beth nie wiedziała, co ma sądzić o tej prostocie i braku uprzedzeń do spraw bardzo osobistych. Miała zamiar wytłumaczyć, dlaczego spotyka się z Billem, ale zanim zaczęła, wiedziała, że nie wyjdzie to tak, jak by chciała. Zaczęła dosyć niezręcznie:

- Bill i ja... płacimy po połowie.

- Czemu?

- No... bo nie chcę, żeby płacił za mnie. Prawie się nie znamy i wiem, że on po prostu stara się być uprzejmy.

- Wybacz mi moją szczerą, ale to, co powiedziałaś, to chyba najgłupszy powód, jaki można podać. Jeśli Bill chce cię zaprosić na kolację, to pewnie wie, że sobie może na to pozwolić, i nie ma powodów, aby w to wątpić.

- Wiem, że to wszystko nie tak - zaczęła od nowa - ale chcę, żeby Bill został dobrym przyjacielem, i jako przyjaciel... - zaczęła szukać słów, i w rezultacie zmieniła tok myśli: - A gdybyśmy to były my, ja i ty, to czy płaciłybyśmy po połowie?

- Nie wiem. Może tam, skąd pochodzisz, wygląda to inaczej. Jedyne, co wiem, to jeśli facet chce płacić za moją kolację, obiad, czy nawet kawę, to czemu nie? Za każdym razem, kiedy nie muszę płacić sama, mogę odłożyć na coś konkretnego, na przykład na nową bluzkę. A tak przy okazji, gdzie kupiłaś tę bluzkę. Jest fantastyczna.

- Podoba ci się?

- Dla mnie bomba.

- W takim małym sklepiku obok biur Bowles and Bowles. Nie znam dokładnego adresu.

- Może to i lepiej. Jestem chwilowo spłukana. - I zmieniając temat zapytała: - O której masz się spotkać z Billem?

- O siódmej.

- To ja już pójdę i pozwolę ci skończyć. Dochodzi za piętnaście.

Po jej wyjściu Mary Beth zadała sobie pytanie, czy właściwie nie powinna jej zaprosić. Jeżeli to było spotkanie przyjaciół, tak jak ona to interpretowała, to dlaczego nie włączyć Cynthii? Ale inicjatywa wyszła od Billa i uważała, że nie ma do tego prawa. Nie dawało jej spokoju to, że Cynthia ma zostać sama, lecz zdecydowała, że nic nie może na to poradzić. Może Cynthia miała jakieś plany na wieczór?

Spojrzała na zegarek. Było tylko kilka minut do siódmej - czas, żeby zejść na dół. Zamykając drzwi, zastanawiała się, czy pojedą taksówką Billa. Panią Cranford zobaczyła, jak zwykle, w recepcji, i uśmiechnęła się do niej. Czuła, że hotelarka ocenia jej wygląd, i pod tym spojrzeniem poczuła się mniej pewnie niż przed lustrem na górze. Na zewnątrz spotkała Billa palącego papierosa, którego twarz rozpromieniła się na jej widok.

- Dobry wieczór.

- Cześć, Bill.

Taksówki nie było. Może zaparkował za rogiem?

- Wyglądasz bardzo ponętnie. Naprawdę.

Rozbrajający uśmiech nie zniknął mu z twarzy. Miał na sobie sportowe spodnie i marynarkę oraz koszulę niedopiętą pod szyją, bez krawata. Nawet jego czupryna i broda były bardziej przygładzone. Wyglądał dość atrakcyjnie. Chcąc mu dorównać lekkością, odparła:

- Sam też jesteś przystojny.

- Okropnie się starałem, żeby pani dorównać, pani Anderson - odpowiedział żartem, ale Mary Beth zastanawiała się, ile w tym jest prawdy.

- Jako że mamy piękny wieczór, zdecydowałem, że przejdziemy się do Powell Street, tam weźmiemy tramwaj do Ghiradellia Square i Fisherman's Wharf. Odpowiada?

- Świetnie.

Wieczór rzeczywiście był ładny. Szarzało, ale do kompletnego zmierzchu było jeszcze daleko. Ulice były spokojne - prawie bez ruchu. Szli obok siebie. Market Street odzyskała trochę swojego pierwotnego uroku w zapadającej szarówce. I chociaż jakieś bliżej nie określone postacie pojawiały się tu i ówdzie, nie czuła się zagrożona spacerując obok Billa. Z czasem Bill zaczął opowiadać o sobie:

- Urodziłem się w Arkansas. W małym miasteczku Warren, liczącym niecałe 8 tysięcy ludzi - wliczając w to pijaczków i różne męty. Jeżeli jesteś ciekawa, skąd moja rodzina się tam znalazła, to nie jestem w stanie na to odpowiedzieć. Pytałem raz czy dwa rodziców, skąd, ale nigdy mi nie powiedzieli. Nie mieliśmy wujków, ciotek, kuzynów, babć czy czegoś takiego. Ja jestem jedynakiem.

- Dlaczego wyjechałeś stamtąd?

- Dlaczego? Sam sobie zadaję to pytanie. Chociaż nie miałem krewnych, to miałem mnóstwo przyjaciół i niezłe towarzystwo. Nie wiem. Może chciałem się czegoś więcej o sobie dowiedzieć?

- A szkoła?

- Studiowałem na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles.

- A kiedy tu przyjechałeś?

- Po studiach.

W typowej sytuacji Mary Beth nie zadałaby następnego pytania, ale sytuacja nie była już typowa.

- Dlaczego prowadzisz taksówkę? Co studiowałeś?

Rzucił na nią szybkie spojrzenie. Pytanie było szczere.

- Historię. Miałem zamiar uczyć. Bezpieczny i przyjemny zawód. Wracałem nawet do Arkansas. Ale gdzieś po drodze zmieniłem zdanie i w końcu wylądowałem w San Francisco jako kierowca taksówki. Myślisz, że to nieodpowiednia praca?

- Nie, nie - pośpiesznie odpowiedziała - zastanawiałam się tylko, dlaczego nie wykorzystujesz tego, co potrafisz.

- Pochodzisz ze środkowego zachodu, prawda?

Skinęła głową.

- I wy tam wierzycie w etykę pracy?

- Tak.

- No widzisz; jesteś starsza ode mnie i też niewiele potrafisz.

Trochę ją uraziła ta uwaga, ale zdawała sobie sprawę, że nie była złośliwa. Po prostu stwierdzenie faktu.

- Też miałam zamiar uczyć. Właściwie, to zaraz po ukończeniu college'u zastępowałam kogoś przez jakiś czas. Potem matka zachorowała i to się urwało. Ojciec zdecydował, że lepiej będzie, jak zostanę w domu, żeby się nią opiekować. Nie musiał wynajmować kogoś innego.

- Czy ojciec ci płacił pensję pielęgniarki?

Oburzyło ją to: - Oczywiście że nie. Byłam szczęśliwa, że mogłam zrobić dla matki chociaż tyle.

- Rozumiem. - Mary Beth widziała, że nie jest przekonany.

- A co potem? Wróciłaś do szkoły po śmierci matki?

- Nie. Zgłosiłam się ponownie, ale już nie było miejsc. Zaczęłam pracować jako sekretarka w firmie prawniczej.

- Jak długo?

- Parę lat. Potem ojciec zachorował.

Nie musiała kończyć. Bill zrobił to za nią:

- Więc zwolniłaś się z pracy, żeby zająć się ojcem.

Skinęła głową.

- Rzykując, że wydam ci się bez serca, muszę stwierdzić, że byłaś mierną pielęgniarką, bo obydwójce rodzice zmarli.

Była zszokowana tym brutalnym brakiem delikatności. Nigdy nie spotkała nikogo, kto by w ten sposób mówił o śmierci najbliższych. Bill zdawał sobie sprawę, że zranił Mary Beth tą uwagą, ale polubił ją bardzo w ciągu tych kilku godzin, odkąd ją poznał, i widział, że żyje w jakimś odizolowanym własnym świecie. Chciał jej pokazać, że nawet ludzie, którzy ją szanują, mogą być brutalni, bo taki jest świat.

- Nie chciałem powiedzieć, że nie możesz być dobrą opiekunką. Tylko, wydaje mi się, że twoi rodzice byli jakby samolubni, zmuszając cię dwukrotnie do porzucenia pracy zawodowej i zajęcia się nimi. To oczywiście nie moja sprawa, ale takim już jestem facetem, że jak mi się coś nie podoba, to muszę to powiedzieć.

Przestała przejmować się jego uwagą, i chcąc to zaznaczyć, powiedziała:

- Widzę to po prostu w innym świetle niż ty. Naprawdę odpowiadało mi, że mogę pomóc.

- Czulaś się przez to bardziej potrzebna?

- Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Rodzice mnie potrzebowali i robiłam, co mogłam.

Zapadła dłuższa chwila milczenia, aż do momentu, kiedy doszli do przystanku tramwajowego.

- No, Mary Beth, czy jesteś gotowa na jedną z największych przygód w życiu?

Spojrzała na niego zakłopotana. Mówił po angielsku i doskonale rozumiała, co mówi. Miała tylko bardzo często kłopoty w doszukaniu się ukrytych znaczeń w jego słowach.

- Mówię o przejażdżce sławnym tramwajem z San Francisco.

- Okay - odparła próbując odzyskać lepszy humor, ten, w którym rozpoczęła ten wieczór.

Chociaż wiedziała, że tramwaje są turystyczną atrakcją tego miasta, i widziała je wcześniej w telewizji, była zaskoczona widokiem nadjeżdżającego dziwnego, czerwonego wagonu. Bill zaśmiał się widząc wyraz jej twarzy.

- Chcesz jechać na zewnątrz?

Pokiwała przecząco głową. Weszli do środka i Bill zapłacił za przejazd. Kiedy zajmowała miejsce w środku. Bill przeszedł na biegnący wzdłuż wagonu zewnętrzny podest i stanął przy jej oknie.

- Tutaj jest o wiele zabawniej.

- Możesz sobie coś zrobić - zaprotestowała.

Bill wzruszył ramionami, co miało sugerować, że to żaden problem. Tramwaj gwałtownie szarpnął i ruszył do przodu. Trochę przejmowała się tą brawurą, ale było to jakby częścią atrakcji związanych z przejażdżką. Obok Billa kilku innych młodych mężczyzn popisywało się odwagą, starając się zaimponować siedzącym wewnątrz kobietom. Z wielkim wysiłkiem, przy akompaniamencie dzwonków i zgrzycie kół, wagon zaczął się wspinać na pierwsze wzniesienie. Przez długi czas wydawało się, że nie uda mu się tam dotrzeć, ale w końcu znalazł się po drugiej stronie i z niewyobrażalną prędkością zaczął zjeżdżać w dół. Prędkość była tak duża, że nie mogła swobodnie oddychać, a nieustanny dźwięk dzwonków zlewał się jej w jeden przeraźliwy jazgot. Była pewna, że wagon nie zdąży się zatrzymać przed skrzyżowaniem i musi dojść do kolizji. Oczywiście myliła się. W ostatnim - mogło się zdawać - momencie, przy ogromnym pisku hamulców, zatrzymał się gwałtownie. Odbiło się to na pasażerach. Najpierw szarpnęło wszystkich do przodu, by potem, po zatrzymaniu się wagonu, odrzucić gwałtownie w tył.

Bill cały ten czas śmiał się do niej. Starła się odwzajemnić, ale wcale nie była przekonana, że przejażdżka tramwajem jest przyjemnym przeżyciem. W końcu dojechali do ostatniego przystanku na Ghiradelli Square. Bill, z rozwianymi włosami i wyraźnie podekscytowany, czekał na nią przy wyjściu.

- No i jak? Miałem rację?

Przez chwilę nie rozumiała, o co mu chodzi.

- Czy nie mówiłem, że to jest ogromne przeżycie?

- Tak, mówiłeś - zaśmiała się - i nie przesadziłeś. Przez moment myślałam, że tego nie przeżyję.

- Tego trzeba spróbować. Inaczej, nigdy nie wiesz, jak to jest naprawdę.

- To prawda.

- A teraz zwiedzanie, dobrze?

- Zgadza się.

- Otóż, znajdujemy się na Ghiradelli Square. Sławnym Ghiradelli Square. W miejscu, w którym stoimy, była kiedyś fabryka czekolady. Czekolady Ghiradelli. Próbo-
wałaś kiedyś?

- O ile pamiętam, nie.

- Oczywiście Ghiradelli nie jest tak sławna jak Hershey czy Nestle, ale tu, w San Francisco, to jedyna uznawana czekolada.

- A gdzie jest teraz fabryka?

- Przeniesiona na przedmieścia, jak zresztą większość firm. Ale ku pamięci wzniesiono to interesujące centrum handlowe i nazwano je Ghiradelli. A teraz Fisherman's Wharf - siedziba restauracji Joe DiMaggio i wielu innych miejsc rozrywki...

Spacerowali wzdłuż ulic. Kiedy doszli do Fisherman's Wharf, Bill zaprosił ją do małej, schowanej na uboczu restauracji. Zamówili małże w sosie pomidorowym z makaronem oraz krewetki. Podczas kolacji niewiele rozmawiali. Zastanawiała się, czy taki ma zwyczaj, że podczas posiłku prawie nie mówi. Nie przeszkadzało jej to, zresztą sama też rzadko się odzywała. Po posiłku Bill zamówił wino i wydawał się na nowo gotów do dyskusji.

- Chciałbym przeprosić, że cię uraziłem tą uwagą o rodzicach. Nie miałem takiego zamiaru. Czasem, po prostu mnie ponosi.

Nie wiedziała, jak mu odpowiedzieć. Rzeczywiście poczuła się urażona, i nie chciała teraz kłamać, mówiąc, że wszystko jest w porządku. Uważała, że nie jest. On miał prawo mieć własne podejście do rodziców, ale ona też.

- A jak tam twoja rozmowa kwalifikacyjna?

Uśmiechnęła się.

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, jak młodo i pięknie wyglądasz, kiedy się uśmiechasz?

Teraz się zarumieniła.

- Mój Boże! Jesteś jeszcze ładniejsza z rumieńcem.

- Przestań, Bill. Wprawiasz mnie w zakłopotanie.

- Wracając do rozmowy...

- Pani była bardzo miła. Powiedziała, że będę mieć pewne trudności w znalezieniu dokładnie tego, czego szukam.

- To nic. Nic nie przychodzi łatwo. Trwaj przy swoim, jak długo możesz.

- A ty, Bill? Też będziesz trwał przy swoim?

- Nie bardzo wiem, o co ci chodzi.

- Masz zamiar zawsze prowadzić taksówkę?

- Może tak, a może nie. Ja wierzę w przeznaczenie. Wiedziałem, na przykład, od chwili, kiedy wsiadłaś do taksówki, że jest nam przeznaczone poznać się bliżej.

Nie czuła się na siłach, by poważnie potraktować problem przeznaczenia, więc chcąc wszystko obrócić w żart wesoło zapytała:

- A jak myślisz, gdzie to przeznaczenie nas zaprowadzi?

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak to pytanie mogło być odebrane. Chciałaby móc je cofnąć. Twarz Billa przybrała dziwny wyraz. Nie złości - raczej spokoju i rezygnacji.

- Przykro mi to powiedzieć, Mary Beth, ale nigdzie.

- Nigdzie?

- To znaczy... Zostaniemy przyjaciółmi i bez względu na to, co teraz czujemy, nic z tego nie będzie. A teraz przejdźmy do innych, przyjemniejszych tematów, jak, powiedzmy, dalszy spacer i jazda do domu. Zbliża się godzina duchów.

- Która dokładnie?

- Po jedenastej.

- O Boże, co się stało z tym wieczorem? - Była naprawdę zaskoczona, że czas tak szybko minął.

- Rozpłynął się na cztery wiatry, żeby nigdy nie powrócić, chyba że w krzywym zwierciadle naszej pamięci.

- Jesteś też poetą.

- Wszyscy taksówkarze są poetami. Obserwujemy życie i mamy na nie swój pogląd. Różni ludzie przewijają się przez nasze samochody, a my, bez względu na wszystko, zawozimy ich do miejsca przeznaczenia.

- Czy naprawdę tak to odbierasz?

- Dokładnie. Bardzo lubię to zajęcie - powiedział bardzo uprzejmie, ale w zdecydowany sposób.

- To cudowne, kiedy się lubi swoją pracę. Mam nadzieję, że taką znajdę - interesującą, ale i taką, która daje satysfakcję.

- Nie wymagaj za wiele, a nie rozczarujesz się.

- Nie dalej jak wczoraj mówiłeś, że mam się nie zgadzać na mniej niż chcę, a teraz, że mam nie wymagać za dużo.

- Wiesz co, Mary Beth. Za dużo mówię. A kiedy człowiek za dużo mówi, to zaczyna mówić bez sensu. Zapomnij wszystko, co powiedziałem dziś wieczór.

Nie wiedziała, co o tym myśleć. Szukała odpowiedzi, kiedy nagle zobaczyła jego taksówkę zaparkowaną przy krawężniku.

- To twoja taksówka!

- Nie moja - przedsiębiorstwa. Ale pozwolono mi ją dzisiaj zabrać w celach towarzyskich.

Wrócił do charakterystycznej, przesadnej kurtuazji i w głębokim ukłonie, otwierając drzwi, zaprosił do środka:

- Pani pozwoli.

Weszła do środka i samochód ruszył, jak zwykle gwałtownie. Nie rozmawiali wcale. Obydwoje czuli, że za dużo i za mało zostało powiedziane. Tak czy inaczej, na pewno nic nie zostało przesądzone.

5

Mary Beth miała dwie możliwości. Albo zostać w łóżku, zaniedbując Cynthię, albo wstać o zwykłej porze, ale nie spotkać się z Billem na śniadaniu. Kiedy uświadomiła sobie, że je rozważa, miała do siebie samej pretensje. Zamiast myśleć o tym, z kim się spotkać, powinna była wstać z mocnym postanowieniem, że będzie szukać pracy. Cieszyła się z nowych znajomości, szczególnie z Billem, mimo że jednocześnie obawiała się możliwych przykrych konsekwencji. Wstała jednak z mocnym postanowieniem, że zajmie się pracą, nawet kosztem zaniedbania przyjaciół. Ubrała się i zeszła na dół. Po drodze nie spotkała nikogo i, ku swojemu zdziwieniu, odczuła z tego powodu ulgę. Na dole coś się działo. Pani Cranford i pan Bently żywo dyskutowali z młodą wyraźnie rozgniewaną dziewczyną. Mary Beth nie chciała podsłuchiwać, ale spostrzegła, że wiele dziewcząt mieszkających w hotelu kręci się po holu, chociaż zwykle o tej porze już ich nie było.

- Dobra, ty stara wiedzmo. Tylko pójdę na górę i za minutę mnie tu już nie ma!

- Pan Bently - głos hotelarki był lodowaty - pójdzie z tobą na górę.

- Nie chcę, żeby ten stary rozpustnik pętał się koło mnie. Dajcie mi tylko te cholerne klucze i już się wynoszę!

Mary Beth była pochłonięta obserwowaniem tego, co działo się na dole, toteż kiedy poczuła, że ktoś schwycił ją za rękę i zaczął popychać do przodu, wzdrygnęła się odruchowo. Kiedy się odwróciła, zobaczyła nieruchomą twarz Cynthii.

- Chodźmy na śniadanie, szefowa nie lubi widowni, kiedy musi wypełniać mniej przyjemne obowiązki.

Mary Beth skinęła głową, ale w głębi duszy wolałaby zostać, żeby zobaczyć, czym się to skończy. Wyszły na zewnątrz i skręciły do Maxa. Mary Beth od razu zapytała, co się stało.

- Zwykła sprawa. Gloria wyszła wieczorem i nie wróciła przed dwunastą. Twierdzi, że przyszła dokładnie o północy, ale brama była już zamknięta. Przenocowała u znajomej.

- Czemu obydwie są tak wściekłe? Ta dziewczyna, Gloria, znała reguły.

- Prawda. Co więcej, chociaż oficjalnie nikt tego nie mówi, szefowa potrafi się ugiać. Ale do Glorii nie czuła sympatii i chciała jej coś znaleźć.

- To dlaczego nie powiedziała jej po prostu, że ma się wynieść?

- Ona!? Nigdy by się nie przyznała do ludzkich odruchów. Że kogoś lubi albo nie.

To nie w jej stylu. Uważa, że musi być pod każdym względem fair. I dlatego, to dziewczyna musi być winna, a nie ona.

Doszły do baru. Mary Beth kupiła gazetę.

- Bill powinien być za kilka minut. Usiądziemy i poczekamy?

- Okay - zgodziła się Mary Beth, a jej myśli wciąż krążyły wokół tego, co zobaczyła w holu, i tego, co powiedziała Cynthia.

Była przekonana, że jest jedną z tych nielubianych, i obiecała sobie być ostrożną tak długo, jak tylko będzie zmuszona tam mieszkać. Zamówiła swoje zwykłe solidne śniadanie, co rozbawiło Cynthię:

- Znowu nic wczoraj nie jadłaś?

- Ależ skąd. Bill zabrał mnie do takiej restauracji na Fisherman's Wharf. Jedzenie było wyśmienite.

- Tak, wiem. Byłam tam kilka razy. Mają świetne sałatki.

- Zapamiętam na następny raz. Jadłam małże w sosie pomidorowym z makaronem i krewetki.

Gawędziły tak przez jakiś czas, aż Max przyniósł zamówione jedzenie. Mary Beth zauważyła, że ten sam człowiek - George - siedzi na wprost i jej się przygląda. Siedząc z Cynthią czuła się trochę pewniej, toteż odpowiedziała mu na jego uśmiech. Miała okazję przyjrzeć mu się bliżej. Miał ciemne, lekko kręcone włosy, ładny profil i - kiedy odwrócił się do niej znowu - zobaczyła głęboką bruzdę na brodzie, zanim odwróciła oczy.

- Komu się tak przypatrujesz? - Cynthia wyszeptała nad stołem.

Zarumieniła się. Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, Cynthia, udając, że spogląda na Maxa, odwróciła się, skupiając na nim swój wzrok. Trwało to nie więcej niż kilkanaście sekund, i jeżeli George był świadomy, że jest obserwowany, nie dawał tego po sobie poznać. Cynthia odwróciła się ponownie.

- Przystojny.

Nie chcąc nic odpowiadać, Mary Beth skoncentrowała się na jedzeniu. W chwilę potem Bill rzeczywiście wpadł do środka, już od progu pozdrawiając wszystkich

znajomych. Widząc je, przyłożył rękę do czoła, a na twarzy pojawiło się coś, co miało sugerować przerażenie.

- Boże, uchwyc mnie przed grzechem rozkoszy, która mnie oczekuje. Dwie, nie jedna, dwie piękne kobiety czekają na mnie. To za dużo jak na moje biedne serce.

- Słuchaj, dzielny książę. Jedna z tych piękności, o których mówiłeś musi być w pracy. Podwiesz mnie?

- Zapytaj mnie raczej, czy oddam swoje życie za ciebie. Jeśli samochód nie ruszy, poniosę cię w ramionach. Nie poczuję żadnego ciężaru; będziesz dla mnie lekka jak piórko.

- Aż w końcu policja nas wsadzi za kratki - zakończyła ze śmiechem Cynthia.

Wstała, a Bill pochylił się nad stołem i powiedział do Mary Beth:

- Nie wychodź, dopóki nie wrócę.

I zanim zdążyła odpowiedzieć, już ich nie było. Max, stojący za ladą, pokiwał głową i mruknął przyjaźnie:

- Ten Bill to wariat.

Rozłożyła gazetę i zabrała się do przeglądania ogłoszeń. Znowu poczuła na sobie spojrzenie George'a, ale tym razem pozostała niewzruszona, chociaż to zainteresowanie jej osobą zaczęło jej sprawiać przyjemność. George odszedł od lady i podszedł do jej stolika.

- Dzień dobry pani.

Głos miał niski i głęboki. Kojący - to było chyba najlepsze określenie. Była zaskoczona, ale nie do końca. Instynktownie wiedziała, że podejdzie do niej, jak tylko znajdzie okazję, ale teraz, gdy go rzeczywiście usłyszała, było to dla niej niespodzianką.

- Dzień dobry - odpowiedziała pogodnym głosem, mając nadzieję, że poruszenie, które czuła w środku, nie daje się zauważyć.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale jeśli szuka pani pracy, to biuro, w którym pracuję, poszukuje sekretarki.

Poczuła, że robi się jej słabo. Nie tylko, że jest przystojny i ma wspaniały głos, ale jeszcze proponuje jej pracę. Nie, moment - próbowała się uspokoić - trzeba wziąć się w garść; na razie po prostu wspomniał, że tam kogoś potrzebują.

- Bardzo miło z pana strony - wykrztusiła z siebie zachowując pozory obojętności.

- To moja wizytówka. Najlepiej tam zadzwonić od razu i skontaktować się z kierownikiem biura.

Wzięła ostrożnie kartkę, a mężczyzna o imieniu George uśmiechnął się i wyszedł. Wtedy uświadomiła sobie, że zapomniała podziękować. Spojrzała na wizytówkę:

*George Walker. Zespół adwokacki - Franchetti, Veiner,
Montgomery i Walker.*

Dalej adres i numery telefonów. Czytała i oglądała ją kilka razy, do tego stopnia pochłonięta, że nie spostrzegła powrotu Billa.

- O, widzę, że czekałaś. Max, naleśniki, biegiem. Pieniądze leżą na ulicy i trzeba je zbierać. - A kiedy usiadł: - Co przeglądasz?

- Niejaki George Walker dał mi swoją wizytówkę.

Bill spojrzał na nią podejrzliwie:

- Po co?

Wyjaśniła mu, że siedziała i czytała ogłoszenia, kiedy on podszedł i powiedział, że w jego firmie poszukują sekretarki.

- A ty? Co powiedziałaś?

- Nic.

- Jak to nic.

- Zanim zdążyłam powiedzieć dziękuję czy cokolwiek, jego już nie było. Ale wydaje mi się, że jada tu regularnie, bo wczoraj też go widziałam.

- Aa, więc widziałaś go wcześniej. - Uśmiech pojawił się na jego twarzy.

Mary Beth znowu się zarumieniła.

- Teraz jesteś jak róża.

- Bill, przestań.

- No dobrze. Co masz zamiar teraz zrobić?

- Czy adres jest w porządku? - zapytała podając mu kartkę.

- Niezły. Parę metrów za rogiem.

- Naprawdę?

- Mary Beth - przybrał poważną pozę - jeżeli facet przychodzi tutaj jeść, to można śmiało założyć, że pracuje gdzieś w pobliżu.

- Tylko jeżeli zdajesz sobie sprawę z takich niuansów - odparła, dając do zrozumienia, że nie podoba się jej ten ton.

- Trafiony. Masz rację. Należało mi się.

- No dobrze. Ja też przepraszam. - Nie chciała mu sprawiać przykrości, ale też chciała być poważnie traktowana.

- Niewiele wiem o prawnikach, ale o tej firmie na pewno nic złego nie słyszałem.

- Więc uważasz, że powinnam tam zadzwonić?

- Pewnie. Nic nie tracisz. Jeżeli się tam zaczepisz, a kobieta-smok cię nie wyrzuci, zaoszczędzisz na dojazdach.

Wyczuła nutę sarkazmu w jego głosie, ale przypisała to raczej własnemu nastawieniu. Chciała być miła do końca. Poczekała, aż skończy śniadanie, i wyszli razem. Bill rzucił coś szybko na pożegnanie, wskoczył do samochodu i odjechał. Na pewno był czymś wzburzony - niemożliwe, żeby jej się tylko tak wydawało. Czymś, co było związane z nią. Ale czym? A może po prostu wstał dzisiaj lewą nogą? Tak czy inaczej była w zbyt dobrym nastroju, żeby się dłużej przejmować.

Weszła do holu. Było bardzo cicho i nic nie wskazywało na poranne zamieszanie. Pani Cranford, jak zwykle prawie bez ruchu, siedziała za biurkiem. Mary Beth podeszła do telefonu w tyle holu. Podniosła słuchawkę i szybkim ruchem wykręciła numer podany na wizytówce. Po chwili połączono ją z kierowniczką biura i usłyszała apodyktyczny głos:

- Volney, słucham.

- Nazywam się Mary Beth Anderson. Pan Walker powiedział mi, że szukacie państwo sekretarki.

- Czy zna pani pana Walkera osobiście?

- Nie.

- Hm...

Przez chwilę telefon był głuchy.

- Pani Anderson, czy mogłaby pani się tu zjawić o jedenastej? Możemy wtedy porozmawiać o posadzie.

- Tak, proszę pani.

- Świetnie. W takim razie, do zobaczenia o jedenastej.

Mary Beth od razu podziękowała, ale zanim skończyła, pani Volney odłożyła słuchawkę. Jej entuzjazm trochę przez to opadł, ale i tak wracała do pokoju w pogodnym nastroju. Spojrzała na zegarek - była prawie dziesiąta. Biura były tuż za rogiem, tak przynajmniej powiedział Bill, tyle tylko, że zapomniał dodać za którym. Zdecydowała, że zapyta hotelarkę, i nieśmiało zbliżyła się do biurka.

- Przepraszam, pani Cranford.

- Tak, słucham?

- Czy może mi pani powiedzieć, jak się dostać pod ten adres - powiedziała podając wizytówkę.

- Jeżeli się nie mylę, to śniadania pani jada u Maxa?

Skinęła głową.

- To tam. To biuro musi być gdzieś w połowie tej ulicy, idąc od baru.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. - I bez ceregieli wróciła do swojej pracy.

Mary Beth przeszła powoli do windy. Zastanawiała się, czemu Bill jej nie powiedział, że biura muszą być o kilka kroków od baru. Ludzie dziwnie się zachowują, ale Bill jest wyjątkowy. Cała gama nieprzewidywalnych nastrojów.

Wzięła jeszcze raz prysznic i przebrała się przed wyjściem. Widząc swoje odbicie w lustrze - ciemnobrązowa garsonka, beżowa bluzka, brązowe buty i skórzana torebka - pomyślała, że wygląda gustownie, i nie myliła się.

Wyszła na zewnątrz i skierowała się powoli pod adres firmy. Dzień był cudowny - kolejny idealny jesienny dzień. Mocno grzejące słońce, a przy tym nie za gorąco. Błękitne niebo i olbrzymie kłębiaste chmury. Czowała się cudownie, wierząc, że uda się jej zrobić wrażenie na pani Volney. Gdyby pracowała tam jako sekretarka, widziałaby tego George'a Walkera codziennie. Pewnie jest żonaty - jest chyba po czterdziestce, niewiele po czterdziestce. Ależ on jest przystojny!

Weszła do środka i zorientowała się po spisie, że firma mieści się na dwudziestym piętrze. W ogromnym holu było kilka wind - część na piętra od pierwszego do dwunastego, reszta od czternastego do dwudziestego piątego. Brakowało trzynastki. Uśmiechnęła się do siebie. Trzynastka to pechowa liczba - ze zdenerwowania przed rozmową chwyciła się czegokolwiek dla odwrócenia myśli - głupi przesąd, a jednak ludzie w to wierzą.

Wyjechała windą sama na dwudzieste piętro. Po wyjściu, na wprost windy, zobaczyła tablicę firmową ze wzorem podobnym do tego na wizytówce, a obok podwójne szklane drzwi. Przeszła przez drzwi do dużej poczekalni, gdzie przy biurku siedziała starsza kobieta.

- Czym mogę służyć?

- Jestem umówiona z panią Volney na jedenastą.

- Jak się pani nazywa?

- Mary Beth Anderson.

- Dobrze. Proszę sobie usiąść. Za moment dam pani znać.

Mary Beth odeszła od biurka i usiadła na fotelu. Machinalnie sięgnęła po jedno z czasopism na stoliku i zaczęła je przeglądać.

- Pani Volney będzie za chwilę.

- Dziękuję.

Przerzucała strona po stronie jakieś czasopismo poświęcone architekturze.

Niebawem zjawiała się wysoka, elegancka kobieta i energicznie zapytała:

- Pani Anderson?

- Tak.

- Nazywam się Volney - przyjaźnie wyciągnęła rękę.

Mary Beth uśmiechnęła się i uścisnęła jej dłoń. Była wyższa od niej. Miała jasną cerę, ciemne oczy i ciemne włosy spięte z tyłu w kok. Ubrana była w prostą, ale kosztowną sukienkę.

- Proszę za mną.

Przeszły wzdłuż długiego korytarza, na który wychodziło wiele pootwieranych drzwi, ale Mary Beth była zbyt onieśmielona, aby się rozglądać. Przy jednych z nich pani Volney zatrzymała się i przepuściła ją przed sobą do środka.

Biuro było raczej małe i nienagannie urządzone. Było tak nienaganne jak sama pani Volney. Mary Beth usiadła dopiero wtedy, gdy pani Volney już siedziała za biurkiem i gestem poprosiła ją o zajęcie miejsca.

- Pani Anderson, podarujmy sobie formalności i formularze. Nie interesuje nas statystyka. Chcemy utrzymać pewien poziom i dlatego też, przy tej posadzie, ważny jest wygląd, co, muszę przyznać, stawia panią w korzystnej sytuacji.

- Dziękuję.

- Proszę mi o sobie opowiedzieć.

Skrótowo opowiadała jej swoją historię. Widać było, że słuchała z uprzejmości raczej niż z zainteresowania. W pewnym momencie przerwała gwałtownie:

- Potrafi pani pisać na maszynie?

- Trochę.

Chłodny uśmiech przebiegł jej po twarzy. - Może powinnam inaczej zapytać; czy ma pani jakieś doświadczenie w pisaniu?

Nie mogła dojść, skąd bierze się to coś, co ją irytuje w tej kobiecie. Czowała jej niechęć i dezaprobatę.

- Oczywiście - odparła prawie opryskliwie.

Nie pozwoli się traktować jak dziecko ani pani Volney, ani nikomu innemu.

- To brzmi zachęcająco.

To już ją prawie wyprowadziło z równowagi, ale jej rozmówczyni ciągnęła dalej:

- Właściwie wszystko jest zadowalające. W normalnych warunkach pensja wynosi 175 dolarów na tydzień, ale, jak pani niewątpliwie przyzna sama, pani wkład jako maszynistki będzie na początku ograniczony. Pójdziemy na kompromis. Dam pani 150 na tydzień w okresie próbnym. Jeżeli po sześciu tygodniach obie zdecydujemy, że jesteśmy z siebie zadowolone, podniosę pani pensję do 175 dolarów na tydzień.

Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Pensja była niska, ale za to posada dokładnie taka, jakiej szukała. Była zdecydowana zgodzić się od razu.

- Myślę, że to uczciwe.

- W porządku. Czy zatem może pani zacząć od jutra?

Nie była przygotowana zacząć od razu. Przynajmniej psychicznie. Widząc jej niezdecydowanie, pani Volney dodała:

- W tej chwili pracuje ktoś dorywczo i jest to sytuacja najwyżej znośna. Im szybciej się pani nauczy, tym bardziej wartościowa będzie pani dla firmy.

Bała się, że jeśli się nie zgodzi zacząć od następnego dnia, oferta może być wycofana.

- Oczywiście; mogę zacząć jutro.

- Pracujemy od dziewiątej do piątej, z godziną na lunch. Spodziewam się, że będzie pani punktualna.

- Tak.

- Dobrze. Zatem spotykamy się jutro rano.

Jej przyszła szefowa zaczęła coś przeglądać na biurku, co miało oznaczać, że rozmowa jest skończona. Mary Beth wyszła z mieszanymi uczuciami z powodu sposobu, w jaki była traktowana, ale na razie była zbyt szczęśliwa, by martwić się na przyszłość. Wychodziła z budynku.

Było prawie południe i hol wypełniały tłumy wchodzących i wychodzących ludzi. Podświadomie rozglądała się po twarzach w poszukiwaniu George'a Walkera. Wmawiała sobie, że chce mu tylko podziękować. Nie spotkawszy go, pocieszyła się, że będzie miała na to dużo czasu, kiedy zobaczy go w biurze. Była zbyt podniecona, aby coś jeść, więc zdecydowała poświęcić całe popołudnie na zakupy, bo chociaż przywiozła ze sobą trochę ubrań z Sedalii, teraz, kiedy zaczną pracować, potrzebne jej będą inne. Nie miała na myśli żadnego konkretnego miejsca, więc idąc, rozglądała się po wystawach. Być może - myślała - powinna poczekać na Cynthię. Na pewno ona będzie знаła miejsca, gdzie można kupić ubranie za rozsądną cenę. Zgadzała się ze sobą, że tak byłoby najlepiej, ale w takim nastroju nie potrafiła słuchać głosu rozsądku. Będzie jeszcze wiele okazji, żeby skorzystać z rad Cynthii, ale teraz chciała sobie sama coś kupić. Właściwie chciała sobie sprawić prezent w nagrodę, że tak szybko uporała się ze znalezieniem pracy.

Odkryła sklep, który ją interesował, i wełnianą spódnicę na wystawie, która przypadła jej do gustu. Kosztowała czterdzieści dolarów. Weszła do środka i prawie natychmiast, przywołana dźwiękiem otwieranych drzwi, pojawiła się u jej boku egzotycznie wyglądająca ekspedientka.

- W czym mogę pani pomóc?

- Chciałabym zobaczyć taką spódnicę jak na wystawie.

- Jaki rozmiar?

- 38.

Obrzuciła ją badawczym spojrzeniem.

- Myślę, że wystarczy 36. Ta numeracja jest większa.

Ekspedientka podeszła od jednej z szafek i wyciągnęła dokładnie taką samą spódnicę, jaka była na wystawie. Podała ją Mary Beth:

- Proszę tę przymierzyć. Tam, z tyłu jest przymierzalnia.

Wzięła spódnicę i poszła do małego pokoiku w tyle sklepu. Spódnica pasowała jak ulał w biodrach i pasie, ale wydawała się jej trochę za krótka. Kiedy wyszła, sprzedawczyni już czekała przy drzwiach.

- Niedobra. To krój nie dla pani.

- A może, gdyby tak trochę spuścić u dołu?

- Wątpię. To nie tylko długość. Nie w pani stylu i już. Na pani miejscu raczej bym jej nie kupiła.

Chcąc nie chcąc, musiała się z nią zgodzić.

- Czy chce pani spróbować coś innego?

- Tak naprawdę, to właśnie ta jedna wpadła mi w oko i teraz sama nie wiem...

- Jeżeli pani naprawdę chce, to proszę ją wziąć.

Nie potrafiła się zdecydować. Nawet jeśli jej się podobała, to dlaczego ta kobieta miałaby mówić, że jej nie pasuje, gdyby to nie była prawda? Nie mogła sobie pozwolić iść do biura w czymś nieodpowiednim. Przy takiej pani Volney, z jej elegancją i manierami? Nie, żeby chciała z nią współzawodniczyć, ale była pewna, że pani Volney nadaje pewien ton w biurze, i dobrze by było sprostać jej wymaganiom. Ekspedientka, widząc jej bezradność na twarzy, zaproponowała pomoc:

- Proszę dać mi chwilę czasu, a zobaczę, co mogę znaleźć takiego na panią.

Wróciła po chwili niosąc lekko błyszczący, brązowy, dwuczęściowy komplet. Mary Beth nie bardzo spodobał się ten wybór, ale zgodziła się na przymiarke.

- Proszę zabrać też górę; zobaczy pani efekt w całości.

Nałożyła najpierw spódnicę i musiała przyznać, że pasuje idealnie. Długość również była odpowiednia. Potem narzuciła górę i wyszła z przymierzalni.

- Teraz tak. Proszę spojrzeć na siebie w lustrze.

Musiała przyznać, że efekt był naprawdę niezły.

- Jeżeli wolno mi jeszcze coś doradzić, to proponowałabym białą bluzkę do tego, żeby uwydatnić ciemny brąz. Z pewnością ma pani taką w domu.

Teraz dopiero zaczęła się sobie naprawdę podobać. Bardziej nawet, niż chciała się do tego przyznać.

- A czy ma pani jakąś naprawdę ładną bluzkę, która by pasowała?

- Mam, ale bardzo drogie.

- Po ile?

- 50 dolarów. Tyle, co ten cały komplet.

- Czy można zobaczyć?

- Oczywiście.

Kobieta weszła za ladę i wyjęła białą szyfonową bluzkę. Sam dotyk sprawiał Mary Beth przyjemność. Włożyła ją i w tym momencie bluzka była już sprzedana.

- Biorę wszystko.

Ekspedientka podliczyła wszystko: - 108 dolarów z podatkiem. Prawie tygodniowa pensja, a ona jeszcze nie zaczęła pracować. Cóż, w przyszłości trzeba się będzie bardziej pohamować. Zresztą, komplet jest bardzo praktyczny, bo można go nosić w wielu różnych kombinacjach.

- Czy przyjmuje pani czeki podróżne?

- Oczywiście.

Podala jej trzy po pięćdziesiąt dolarów i zabrała resztę.

- Zadowolona z zakupu.

- Dziękuję.

- Jeszcze jedno. Jeżeli będzie to pani nosić do pracy, radziłabym czarne proste buciki. Jeżeli na wieczór, to koniecznie jakaś mała złota broszka i buty zapinane paseczkiem w kostce.

- Dziękuję bardzo.

Po wyjściu, utrwaliła dokładnie w pamięci miejsce, i z pakunkami w ręce, prawie pobiegła w kierunku hotelu, żeby podzielić się pomyślną wiadomością z Cynthią bądź Billem. Wydawało się jej, że dopiero teraz rozpoczyna swoje prawdziwe życie w San Francisco, i to przekonanie sprawiało jej ogromną radość.

6

Mary Beth nastawiła budzik na siódmą. To dało jej dwie godziny, zanim miała się zjawić w pracy. Potrzebowała tego czasu, bo nie lubiła się spieszyć - szczególnie rano. O siódmej była pierwsza w łazience. Wzięła prysznic, i upewniwszy się, że zostawia wszystko w nienagannym stanie, wróciła szybko do siebie. Zabrało jej to więcej niż zaplanowane piętnaście minut, ale i tak nikt jeszcze o tej porze nie czekał przed łazienką.

Po powrocie do pokoju, starannie nałożyła makijaż. Używała tylko szminki. Może później, kiedy poczuje się pewniej, zacznie używać cieni do powiek i kredki. Teraz wystarczyło jej tylko lekkie dotknięcie szminki. Zapowiadano następny pogodny jesienny dzień, więc nie będzie musiała ubierać nic innego poza tym, co wczoraj kupiła. Miała także parę czarnych butów oraz czarną torebkę, która, mimo że nie prezentowała się najlepiej wobec nowego stroju, będzie musiała na razie wystarczyć. Może do pierwszej wypłaty. Obiecała sobie, że teraz, kiedy będzie otrzymywać regularne wynagrodzenie, jej wydatki nie mogą go przekroczyć. To, co ma odłożone, musi zostać nienaruszone.

Gdyby polubiła pracę tutaj, byłaby naprawdę zdecydowana osiedlić się na stałe w San Francisco. Napisałaby da ciotki Blanche, żeby wystawiła dom na sprzedaż, i pieniądze w ten sposób uzyskane byłyby jakąś gwarancją na przyszłość.

Dochodziła właśnie ósma, a więc pora, żeby wyjść. Zostawiła sobie pół godziny na śniadanie, tak aby gdzieś między 8.40 a 8.45 być już na miejscu.

Pani Cranford, zwyczajowo zajęta papierami, siedziała przy biurku w holu. Kiedy ją usłyszała, podniosła głowę

- Dzień dobry pani.

- Dzień dobry. Pani dzisiaj tak wcześnie? - uprzejmie i prawie przyjaźnie odpowiedziała hotelarka.

- Tak. Dzisiaj jest mój pierwszy dzień w pracy - dumnie wyjaśniła Mary Beth.

- Oo...

- Tak. Będę pracowała jako sekretarka w firmie prawniczej: Franchetti, Veiner, Montgomery i Walker.

- Moje gratulacje pani, Anderson. Życzę pani samych sukcesów.

- Dziękuję. Dziękuję bardzo - odpowiedziała szczerze, trochę zaskoczona, ale i poruszona zainteresowaniem tej kobiety.

- Miłego dnia.

- Pani również.

Weszła do Maxa. Dzisiaj jednak nie zamówiła tego, co zwykle. Poprosiła o kanapkę i kawę. W środku nie było nikogo, kogo znała. Max, podając jej kawę z szerokim uśmiechem, powiedział:

- Masz pracę?

- Tak. Ten George Walker powiedział mi, że jest coś w jego firmie. Byłam tam wczoraj na rozmowie i przyjęli mnie.

- To świetnie. Dzisiaj jesz śniadanie na koszt firmy.

- Nie... Nie mogę.

- Nie żartuj. Nie zbankrutuję przez jedną kanapkę i kawę, ale... jeżeli zamówisz następną kawę, będę się musiał zastanowić.

- Dzięki, Max.

Była w świetnym nastroju. Wszyscy wydawali się tak mili i uprzejmi. Jedyne, czego żałowała to to, że nie widziała Cynthii poprzedniego wieczoru i że nie spotka się teraz z Billem.

- Max, mógłbyś powiedzieć Billowi, że dostałam pracę?

- Pewnie. Na pewno się ucieszy.

- Wiem.

Skończyła śniadanie i wyszła z baru. Była za dwadzieścia pięć dziewiąta. Będzie wcześnie, ale to nie miało znaczenia. Wolą być trochę wcześniej, żeby mieć czas się zaaklimatyzować.

Kiedy weszła do biura, nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. Usiadła przy biurku i zaczęła się rozglądać. Obejrzała centralkę telefoniczną, ale nie bardzo wiedziała, co jest co. Nie siedziała tak dłużej jak pięć minut, kiedy do środka weszła pani Volney.

- Widzę, że jest pani wcześnie. Mam nadzieję, że to pani stały nawyk.

Uśmiechnęła się.

- Dobrze. Proszę poczekać kilka minut, aż odłożę swoje rzeczy, i zaraz pani pokażę, jak obsługiwać centralkę.

Sposepniała. To jednak ta kobieta będzie ją uczyć. No cóż, nie wszystko może być łatwe. Pani Volney wróciła do niej. Włosy miała dalej spięte w kok, ale ubrana była inaczej. Jej strój był bardzo podobny do tego, który ona miała na sobie. Poza kilkoma różnicami w kroju spódnicy i rękawów były ubrane bardzo podobnie. Pani Volney wzięła kartę z biurka, na której wypisane było około dwudziestu nazwisk, i podając ją Mary Beth, zaczęła wyjaśniać:

- Tutaj są wypisane nazwiska oraz telefony wewnętrzne prawników i innych pracowników. Wszystkie telefony odbierane są tutaj, chyba że któryś z prawników poda komuś swój prywatny numer. Takie telefony odbierają bezpośrednio ich sekretarki. Kiedy pani odbiera, najpierw należy podać swój numer. Wtedy, ten kto dzwoni, poda pani czyjeś nazwisko. Mówi pani: "Dziękuję" i teraz mamy dwie możliwości: Jeśli to chodzi o któregoś z prawników, łączy pani z jego sekretarką i albo on, albo ona odbierze. Jeżeli to chodzi o mnie lub kogoś z pracowników, którzy nie mają sekretarki, pyta pani, czy przyjmujemy rozmowę, i jeśli tak, łączy pani.

Słuchała uważnie, starając się wszystko zapamiętać, ale jednocześnie wiedziała, że tylko w praktyce, z czasem, będzie w stanie nauczyć się obsługi. Jakby odgadując jej myśli, pani Volney dodała:

- Nie oczekujemy, że pani złapie to wszystko od razu, ale mam nadzieję, że ograniczy pani pomyłki do minimum. Klienci bardzo tego nie lubią.

- Postaram się.

- Jestem o tym przekonana.

Tymczasem w biurze zaczęło się pojawiać mnóstwo nowych twarzy. Mary Beth przyglądała się im w oczekiwaniu. Większość przychodzących musiała być pracownikami biura, bo witali się pośpiesznie z kierowniczką i znikali w swoich biurach. Zdziwiona była, że pani Volney nie zadaje sobie trudu, aby ją komukolwiek przedstawić. Wśród przybyłych był również starszy, lekko szpakowaty mężczyzna, którego kierowniczką pozdrowiła z szerokim uśmiechem na ustach.

- Panie Montgomery, przedstawiam panu naszą nową pracownicę, Mary Beth Anderson.

Odwrócił się do niej z rozpromienioną twarzą i podał jej rękę.

- Miło mi panią poznać, pani Anderson. Mam nadzieję, że pani się tu zdomowi.

- Dzień dobry panu.

Pan Montgomery poszedł do swojego biura i w tym momencie zadzwonił pierwszy telefon. Pani Volney podniosła słuchawkę:

- Dzień dobry, 6-2-0-0 - słuchała przez chwilę, po czym odpowiedziała: „Proszę poczekać”, a następnie wcisnęła przycisk i wykręciła jakiś numer.

- Pan Jones do pana... jeszcze jej nie ma... świetnie, łączę.

Odłożyła słuchawkę i wyjaśniła:

- Ta rozmowa powinna być połączona z Susan, sekretarką pana Montgomery.

Jeszcze jej nie ma, ale skoro wiemy, że on już przyszedł, połączyłam bezpośrednio z nim.

Mary Beth zajęła się przeglądaniem listy nazwisk i telefonów, czując jak jej zasycha w gardle. Kiedy zadzwonił następny telefon, kierowniczka spojrzeniem dała jej do zrozumienia, że teraz kolej na nią. Kiedy sięgała po słuchawkę, zobaczyła, że George Walker wchodzi do biura. Uśmiechnął się do niej, ale to tylko zwiększyło jej zakłopotanie. Powiedziała: „Halo”, na co pani Volney zmarszczyła brwi. Nerwowo, szybko rzuciła:

- Chwileczkę proszę. Spojrzała w dół na listę.

- O kogo chodzi?

- Robert Klein.

- Jego numer to 6-1-1-9. Jego sekretarki 6-1-2-0. Ona już jest, więc proszę wykręcić numer i powiedzieć, kto dzwoni.

- Zapomniałam zapytać.

- Okay. To proszę po prostu połączyć.

Kiedy to zrobiła, spostrzegła, że się jej trzęsą ręce.

- Wiem, że to początek, ale niech się pani weźmie w garść. To tylko pogarsza sprawę. Moja obecność też chyba nie ułatwia sprawy, więc pójdę do swojego biura. Mój numer to 6-1-1-1. Proszę zadzwonić, jeżeli będę potrzebna.

Wyszła zostawiając Mary Beth samej sobie. Modliła się, żeby telefon nie zadzwonił, ale oczywiście zaraz zadzwonił. Tym razem poszło jej trochę lepiej niż wcześniej. Z czasem telefon odzywał się ze wzrastającą częstotliwością. Z niektórymi radziła sobie bez problemu, ale kilka razy, przez nieuwagę, rozłączyła rozmowę. O 10.30 do jej biurka podeszła kobieta, która przedstawiła się jako Gladys.

- Jak leci?

Mary Beth pokiwała z niezadowoleniem głową. Była przekonana, że poranek był jedną wielką klęską i w każdej chwili spodziewała się, że kierowniczka wyjdzie ze swojego biura i powie, że jest zwolniona.

- Nie przejmuj się. Zanim dzień się skończy, będziesz doskonale wiedziała, jak obsługiwać centralkę, a po jakimś czasie większość numerów będziesz miała w głowie. Zaoszczędzi ci to wiele kłopotów. Ja mam cię zastępować, ale szczerze mówiąc nienawidzę telefonów, więc nie odchodź na dłużej niż piętnaście minut i godzinę na lunch.

- A gdzie jest toaleta?

- Nikt ci nie powiedział, gdzie!

- Nie.

- W tyle korytarza - powiedziała wskazując ręką - toaleta, a obok pokój, gdzie można coś zjeść i napić się kawy. Tam możesz iść złapać oddech.

- Dziękuję, Gladys.

- Tylko pośpiesz się.

Potrzebowała znacznie więcej niż filiżankę kawy. Środek uspokajający byłby cudowny. W toalecie obmyła sobie twarz i ręce zimną wodą. Czowała, jak lodowata woda chłodzi jej rozgorączkowaną twarz, dając chwilową ulgę. Gdy wyszła z toalety, połowa z kwadransa już minęła. Reszta czasu mogła nie wystarczyć na kawę, ale Mary Beth nie potrafiła się bez niej obejść.

Weszła do większego pokoju, w którym ustawione było kilka stolików i krzeseł. W rogu stał automat do kawy. Wzięła kubek i do kawy dolała dużo mleka, żeby ją schłodzić. Presja czasu pozbawiła ją prawie zupełnie wszelkiej przyjemności. Po kilku zaledwie łykach przydzielone piętnaście minut minęło. Wylała pełną prawie zawartość kubka do zlewu i wyszła.

Poranek jakoś przeszedł. Dokładnie w południe zjawiała się Gladys i Mary Beth mogła wyjść na lunch. Zdecydowała, że pójdzie do Maxa. Po takim poranku potrzebowała widoku znajomych i przyjaznych twarzy. Jednakże tam czekała ją niespodzianka. Bar nie był teraz tak spokojnym i przyjemnym miejscem jak w czasie śniadania. Było tak tłoczno, że ledwie znalazła miejsce przy ladzie. Max rzucił jej przelotny uśmiech, ale to było wszystko, na co go było stać, jako że bez przerwy przygotowywał, zbierał zamówienia, roznosił i czyścił, czyli ogólnie pilnował interesu. Wielość potraw wprawiła ją w

zakłopotanie, i nie mogąc się zdecydować, zamówiła danie firmowe - rosół z makaronem, i jadła go powoli.

Modliła się, żeby popołudnie było łżejsze. Jak na razie nie dostała nic do pisania, a nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można coś pisać, jednocześnie próbując się uporać z tymi telefonami. Albo sobie poradzi, albo... będzie musiała zrezygnować. Nie zdawała sobie wcześniej sprawy, jak bardzo wyszła z wprawy. Nawet jeśli chodzi o telefony, to wcale nie było ich tak dużo, to tylko jej tak dużo zabierało czasu. Kiedy skończyła zupełnie, nie mogła się ociągać, bo byli inni czekający na miejsce. Zapytała Mabel, czy zawsze jest taki tłok w południe.

- Dzisiaj jest zupełnie przyzwoicie. Zwykle, czeka się na zewnątrz, żeby wejść do środka.

Nabiera mnie? Spojrzała jej prosto w oczy i zobaczyła, że to jest prawda. Mój Boże, jak ci wszyscy ludzie mogą normalnie funkcjonować w takich warunkach?

Mimo złych przeczuć, popołudnie minęło łagodnie. Nabrała pewnej wprawy, która pozwoliła jej już dość szybko reagować na poszczególne telefony. Trudności miała wtedy, gdy musiała się zająć więcej niż jednym, w tym samym czasie. Jednakże, pomimo braku wiary we własne możliwości, pod koniec długiego dnia już nie myślała, że kierowniczka może ją zwolnić w każdej chwili. Popełniała błędy, ale by być w zgodzie z prawdą, pani Volney jej nie krytykowała. Zjawiała się tylko raz, koło trzeciej, żeby zapytać jak jej idzie.

- Myślę, że nieźle - odparła roztrzęsiona.

- To przejdzie; tylko trochę cierpliwości - pocieszyła ją z chłodnym uśmiechem.

Dodało jej to otuchy i poczuła się lepiej. Przez cały dzień nie widziała ani George'a Walkera ani żadnego z prawników. Mimo, że biuro było dość ruchliwym miejscem, to tego dnia, wyjątkowo, niewiele ludzi przewinęło się przez frontowe drzwi. Straciła poczucie czasu i nie spostrzegła, kiedy minęła piąta. Dopiero widząc wychodzące sekretarki, zrozumiała, że dzień się skończył. Marzyła o kąpieli. Nigdy chyba jeszcze nie była tak przepecona i zmęczona. Nie wiedziała jednak, czy na tym kończyły się jej obowiązki, czy też powinna jeszcze coś zrobić przed wyjściem. Zobaczyła Gladys - jedyną osobę w biurze poza kierowniczką, z którą rozmawiała w ciągu dnia - i zapytała:

- Słuchaj, Gladys, czy ja mam jeszcze coś zrobić przed wyjściem?

- O ile wiem, to tylko powiedzieć Claire, że wychodzisz.

- Claire?

- Pani Volney.

Pokiwała głową i podziękowała Gladys, która już wychodziła, po czym wstała od biurka i poszła do biura kierowniczkii. Zajrzała do środka i zobaczyła panią Volney przy biurku, z głową pochyloną nad papierami. Wahala się chwilę, oczekując, że może wyczuje jej obecność. Ale czas mijał, a ona nie odrywała się od pracy. W końcu Mary Beth zdobyła się na nieśmiałe pytanie:

- Przepraszam, pani Volney - kierowniczka podniosła głowę i spojrzała na nią. - Chciałam się dowiedzieć, czy mam jeszcze coś zrobić przed wyjściem?

- Już jest piąta? - zapytała bliżej nie określonego adresata.

- Tak.

Z wyrazem niezadowolenia rzuciła okiem jeszcze raz na papiery.

- Nie. Tylko wyjdę i zamknę drzwi. Proszę pamiętać, żeby nie zostawiać biura bez opieki, bez względu na godzinę. Przy końcu dnia zamknie pani drzwi do biura i przyjdzie mnie zawiadomić. Ja wypuszczę panią i zamknę drzwi.

- Dobrze.

Wyszły razem. Pani Volney pokazała jej, jak zamknąć drzwi. Mary Beth podziękowała jej, wzięła swoją torebkę i wyszła. Na korytarzu skręciła jeszcze do toalety. Powtórnie już dzisiaj opłukała twarz i ręce. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Wyglądała blado, pomimo uczucia gorąca, które przejmowało całe ciało.

Wyszła z budynku. Zanim ruszyła w kierunku hotelu, stanęła na moment, zaciągając się orzeźwiającym powietrzem. Gdy już miała ruszyć, usłyszała z tyłu znajomy głos, na którego dźwięk, serce przestało jej bić przez moment:

- Jak dzisiaj poszło?

To George Walker patrzył na nią i uśmiechał się. Teraz serce waliło jak młot.

- Nie najlepiej.

- A co było nie w porządku?

- Ja sama. Miałam olbrzymie kłopoty z tą centralką. To nie jest wcale skomplikowane, ale jakoś nie mogłam się połapać.

- Na pewno będzie lepiej, kiedy już pani pozna dokładnie wszystkie nazwiska.

- Mam nadzieję.

Zatrzymała się. George był naprawdę bardzo atrakcyjny. Zastanawiała się co ma teraz zrobić, ale George wybawił ją z kłopotu.

- Do widzenia - powiedział i odszedł.

Zdumiała ją uczucie opuszczenia, którego doznała, gdy się oddalił. Praktycznie go nie znała, ale przy tych kilku okazjach, kiedy na nią patrzył i się uśmiechał, odczuwała ciepło i dobroć. A kiedy odchodził, to tak, jakby zabierał to ciepło i blask ze sobą.

Ruszyła znowu w kierunku hotelu, rozmyślając na jego temat. Był prawdopodobnie żonaty i miał kilkoro dzieci. Teraz pewnie spieszy się do żony - poczuła zazdrość o kobietę, której nie znała. Kiedy George przyjdzie do domu, ta nieznajoma kobieta będzie obdarowana uśmiechem i dobrocią.

Doszła do hotelu o 5.45. Długi wieczór pozostał do jej dyspozycji. Cały dzień czekała, kiedy będzie mogła już iść, a teraz, kiedy była wolna, nie wiedziała, co z tym wieczorem zrobić.

Weszła do pokoju i zdecydowała, że zamiast długiej kąpieli weźmie raczej prysznic. Potem włożyła jeansy i nową bluzkę. Ciekawe, czy Cynthia już wróciła - zastanawiała się. Można iść do jej pokoju i sprawdzić. Zapukała do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Rozczarowana, ostatecznie zdecydowała, że poszuka jakiejś niedrogiej restauracji i zje kolację. Wzięła z szafy sztruksową marynarkę i wyszła.

Nie chciała iść na Market Street, chociaż było jeszcze zupełnie widno. Znała już tamte okolice, a przecież nie znała miasta. Najlepszym sposobem, żeby je poznać, będzie spacer. Wyczerpanie całym dniem pracy ustąpiło, ale na to miejsce pojawił się rodzaj napięcia nerwowego. Po jakimś czasie zorientowała się, że jest na ulicy, przy której mieszczą się jej biura. Oglądała reklamy, wystawy sklepowe i restauracje, aż trafiła na mały lokal o interesująco brzmiącej francuskiej nazwie. Kiedy weszła do środka, powitał ją u drzwi uśmiechnięty niski człowieczek:

- Dobry wieczór, mamselle.

- Dobry wieczór.

- Pani sama?

- Tak.

- Tędy, proszę - powiedział wskazując prowadzący w dół wąski korytarz.

Restauracja była mała - długa ława wzdłuż ściany po jednej stronie, a po drugiej rząd stolików. Kilka zaledwie osób zajmowało niektóre miejsca. Mężczyzna zaprosił ją do miejsca na ławie w tyle, podał menu i odszedł. Natychmiast zjawił się kelner, stawiając na stole karafkę z wodą i szklankę oraz chleb.

Spojrzała na spis. Nazwy potraw były po francusku z angielskimi tłumaczeniami u dołu. Nie była tak głodna, jak się jej wcześniej wydawało. Zdecydowała się na jedną z zapiekanek. Kiedy przyszedł kelner, powiedziała mu, co wybrała.

- Do picia?

- Białe wino.

- Służę uprzejmie.

Kiedy przyniósł wino, zaczęła je obojętnie pić małymi łykami. Starła sobie wyobrazić panią Volney we francuskiej restauracji, z kieliszkiem wina w dłoni. Nie, ona nie ubrałaby jeansów, choćby nie wiem jak były drogie. Ile ona może mieć lat? Starsza? Młodsza? Gdyby George był osiągalny, usidliłaby go już dawno temu.

Kelner zjawił się z ciepłą i smakowitą zapiekanką. Kiedy jadła powoli, spostrzegła, że jeden z mężczyzn przygląda się jej uważnie. Nie odwzajemniła jego uśmiechu, bo nie chciała, żeby myślał, iż szuka przygodnych znajomości. Był w pewnym sensie atrakcyjny, ale i tak wolała nie być przedmiotem niczyjego zainteresowania. Ciekawe - myślała - czy kiedykolwiek przyzwyczaję się do mężczyzn, którzy badają kobiety na każdym kroku. Niektóre kobiety potrafią przyciągnąć uwagę albo zrazić do siebie, jeśli tego chcą, zależnie od potrzeb. Spojrzeniem albo gestem. Ona tego nie potrafiła. Chyba pierwszy raz, siedząc tam przy stoliku, żałowała, że jednak coś utraciła, żyjąc z dala od ludzi w Sedalii. Jadła dalej, czując presję spojrzeń. Poczuli się nieswojo, ale nic nie mogła zrobić. Oparła się pokusie, aby jeść szybciej. Dlaczego zresztą miałyby coś zmuszać ją do tego? Ciągle jeszcze miała cały wieczór i mnóstwo czasu przed sobą. Kiedy uniosła głowę, mężczyzna podniósł kieliszek w geście toastu. Nie mogła mu nic zarzucić, ale był obcy. Nie chciała się dać zwieść pozorom, pamiętając ostrzeżenie Billa. Skończyła jeść i kelner przyniósł jej kawę. Spytał, czy chce deser, i chociaż miała ochotę na coś słodkiego, zaprzeczyła.

Mężczyzna przywołał kelnera i szepnął mu coś do ucha. Starła się bardzo nie patrzeć w jego kierunku, ale nie mogła. Widziała, jak podszedł kelner i podał mu

rachunek, jak wstał, rzucając pieniądze na stół, i jak wyszedł. Był wysoki i dobrze zbudowany. Może nie tak młody, jak się jej wydawało na początku, ale nie stary i przy tym dobrze ubrany.

Wychodząc, jeszcze raz posłał jej przelotny uśmiech. Zaskoczona, też się uśmiechnęła. Czy on próbował ją poderwać? Nigdy w życiu nikt jeszcze nie próbował jej poderwać. Chodziła tylko z tymi chłopcami, z którymi dorastała. Później, kiedy dorosła, spędzała cały czas w domu przy rodzicach. Miała prawie trzydzieści dwa lata i nigdy nie była na randce z dorosłym mężczyzną. Znowu odczuła boleśnie brak obycia. Jej brak doświadczenia mógł jeszcze ujść w Sedalii. Ciotka Blanche pewnie by jej zaaranżowała jakieś spotkanie z odpowiednimi kandydatami poprzez te jej różne organizacje. Uśmiechnęła się na myśl o ciotce. Tysiące mil z dala od niej było łatwo, a nawet przyjemnie wspomnieć tę kobietę.

Poprosiła o rachunek, zapłaciła i wyszła, zadowolona zarówno z posiłku jak i ceny. Podobnie jak w przypadku sklepu, w którym była wczoraj, starała się zanotować w pamięci miejsce. Przez jakiś czas stała przed restauracją, rozważając, czy ma wracać do hotelu, czy kontynuować spacer. Zrobiło się już ciemno, i to być może zadecydowało, iż pomyślała, że jak na jeden dzień zbadala dość obszaru na własną rękę. Skierowała się w stronę hotelu.

Po kilku zaledwie krokach, ktoś ją schwycił za rękę. Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę z restauracji z rozbijającym uśmiechem na ustach.

- Przepraszam panią.

Była tak zaskoczona tym, co się stało, że nawet nie spróbowała oswobodzić ręki.

- O co chodzi?

Mężczyzna zaczął bardzo nieśmiało:

- Wiem, że to zabrzmiało jak coś z podrzędnego filmu, ale jestem pewien, że gdzieś już panią spotkałem.

Nie był natarczywy i wydawał się szczerzy. Mary Beth ochłonęła trochę i nawet uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Przykro mi, proszę pana, ale nie sądzę, żebyśmy się znali.

- Nazywam się Conrad Segal.

Skinęła głową, a nieznajomy nie dawał za wygraną. Byłaby może bardziej przestraszona, gdyby nie zatłoczone ulice. Przy wszystkich tych ludziach wkoło, nie mógł jej skrzywdzić. Jego uśmiech stał się jeszcze bardziej przytulny.

- Czy pani jest z San Francisco?

- Nie. Niedawno przyjechałam.

- To naprawdę niesamowite - pokiwał głową. - Oczywiście teraz widzę, że pani nie może być tą kobietą, o której myślałem, ale podobieństwo jest uderzające.

Nie miała nic więcej do powiedzenia, a zresztą, chciała tę rozmowę już zakończyć. Powiedziała: "Przepraszam" i zaczęła iść dalej. Nie ustępował:

- Nie chciałbym się narzucać, ale może moglibyśmy napić się czegoś razem?

Pokiwała przecząco głową.

- Na pewno?

- Tak.

Zatrzymał się, a ona szła dalej. Nie była ani przestraszona ani zupełnie spokojna. To, co się wydarzyło, choć może normalne, wydało się jej dziwaczne. Zbliżała się do ulicy, przy której stał hotel, i coraz mniej ludzi było wokoło. Nie odwracała się w obawie, że jeżeli ten człowiek jeszcze się gdzieś kręcił, to mógłby to potraktować jako pretekst, żeby zacząć od nowa. Odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła biurowiec. Pracowała tu dopiero jeden dzień, a już był częścią jej życia i czuła się bardziej swojsko w tych okolicach.

Przed skrzyżowaniem, na którym miała skręcić, przeszła na drugą stronę ulicy. Poczula się na tyle pewna, że strofowała się sama za bezpodstawne obawy. Pewnie ten biedny człowiek był samotny i szukał tylko miłego towarzystwa na kilka godzin. Ona nie chciała teraz towarzystwa, z przyjemnością myślała raczej o poczuciu bezpieczeństwa, które dawał jej pokój u pani Cranford. Mijała właśnie nie oświetlony bar Maxa, i kiedy skręcała na rogu, ktoś rzucił się na nią.

Zanim zdążyła krzyknąć, miała już zatkane usta. Była przerażona, ale próbowała walczyć. Ten ktoś ciągnął ją w kierunku najbliższej bramy. Wytężyła wszystkie siły, i wtedy, równie niespodziewanie, znaleźli się razem z napastnikiem w snopie światła reflektorów samochodowych. Napastnik puścił ją i zaczął uciekać wzdłuż ulicy. Mary Beth, bezwładna ze strachu, osunęła się na chodnik. Z samochodu wyskoczył mężczyzna.

- Czy wszystko w porządku?

Nie mogła mówić i drżała na całym ciele. Ten mężczyzna z samochodu zdjął marynarkę i okrył ją. Zebrała się mała grupa ludzi i ktoś krzyknął:

- Niech ktoś zadzwoni na policję.

- Pomogę pani - mężczyzna robił, co mógł, ale Mary Beth była w szoku. Nic do niej nie docierało i dawała sobą pokierować. Kiedy szok minął, poczuła zakłopotanie. Dość spora grupa ludzi patrzyła na nią, i niekoniecznie wszyscy ze współczuciem.

- Czy chce pani usiąść w moim samochodzie, dopóki nie przyjedzie karetka?

- Karetka? - powtórzyła tępo.

- Tak.

- Nie jestem ranna.

- A jednak powinni panią zbadać. Tak na wszelki wypadek.

- Nie. Nic mi nie będzie. Dziękuję.

- Na pewno?

- Tak. Wolałabym teraz iść do domu.

- Gdzie pani mieszka?

- Na tej ulicy - odpowiedziała z ulgą, widząc, że ludzie się rozchodzą.

- Będzie pani musiała poczekać na policję.

Policja? Znowu przeraziła się nie na żarty. A co na to powie pani Cranford? Było i tak już za późno, bo samochód policyjny na światłach wyjechał właśnie zza zakrętu. Ze środka wysiadło dwóch rosyjskich policjantów.

- Czyj to wóz? - dość arogancko zapytał jeden z nich.

- Mój - odparł mężczyzna, który ją uratował.

- Co się stało?

- Skręcałem w Front Street, kiedy zobaczyłem, że ktoś atakuje tę panią. Jechałem prosto na nich, na światłach. Kiedy się zatrzymałem, ten facet zwiął.

- Dobra. Proszę do krawężnika z tym samochodem i zaraz spisujemy zeznania. - I odwracając się do Mary Beth: - Jak pani się czuje?

- Okay. Trochę roztrzęsiona.

- Czy potrzebuje pani opieki lekarskiej?

- Nie.

- Jest pani pewna?

- Tak.

- Czuje się pani na siłach, żeby opowiedzieć, co się stało, czy może wolałaby pani iść na posterunek?

Widmo posterunku policji było nawet bardziej przerażające niż sama napaść - przynajmniej teraz.

- Nie ma wiele do opowiadania. Kiedy wracałam do domu, na rogu ktoś się na mnie rzucił i próbował wciągnąć do tamtej bramy.

- Czy widziała go pani?

- Nie. To wszystko stało się tak szybko...

- Jak się pani nazywa?

Podawała mu swoje nazwisko i adres. Zadał jej jeszcze kilka innych pytań. Potem zebrali zeznania tego człowieka, który ją uratował, i w końcu jeden z policjantów zaproponował:

- Proszę wsiąść do samochodu. Podrzucimy panią pod drzwi.

- Może się przejdę, a pan by jechał za mną. Nie sądzę, żeby się to podobało właścicielce hotelu, kiedy zobaczy, że policja mnie odwozi pod drzwi.

- Okay. Jeśli pani uważa, że tak będzie dobrze. Pojedziemy za panią.

- Dziękuję.

Odwróciła się, żeby podziękować mężczyźnie, który ją uratował, i zobaczyła, że właśnie odjeżdża. Krzyknęła za nim, ale był już za daleko, by mógł cokolwiek usłyszeć. Była niepokieszona. Ryzykował dla niej życie, a ona nie zdobyła się nawet na odrobinę wdzięczności. Policjant, zanim wsiadł do samochodu, zapytał raz jeszcze, czy wszystko w porządku. Potwierdziła i wolnym krokiem ruszyła w stronę hotelu. W słabo oświetlonej bramie pomachała przejeżdżającym policjantom i weszła do środka.

Przy biurku w recepcji siedział pan Bently. Zdawała sobie sprawę, że nie wygląda dobrze, ale nie była w nastroju, żeby się tłumaczyć czy opowiadać o tym, co się stało.

Mogła myśleć jedynie o tym, że drugi raz w przeciągu tygodnia była napastowana przez obcych.

Kiedy obudziła się o siódmej następnego dnia, miała za sobą okropną noc. Męczył ją powracający sen, w którym biegła cały czas w mglistą, jesienną noc. Była tylko ona i nikt więcej.

Kładąc się spać, postanowiła, że nie wspomni nikomu, nawet Cynthii i Billowi, o tym, co się jej przydarzyło. Teraz, rano, zachowywała się normalnie i nic nie zdradzało jej przeżyć. Zjadła śniadanie u Maxa i poszła prosto do biura. Zastała otwarte drzwi, co ją zaskoczyło, zważywszy wczorajsze upominanie odnośnie zamykania drzwi wieczorem.

Była 8.45, kiedy usiadła przy biurku. Zaczęła przeglądać kartę z nazwiskami i telefonami, z mocnym postanowieniem, że dzisiaj musi być lepiej niż wczoraj. Następną osobą, która weszła, był George. Powitał ją przyjaznym uśmiechem:

- Dzień dobry.

- Dzień dobry.

Oczekiwała, że pójdzie od razu do swojego biura, on jednak zatrzymał się przy niej.

- Czy dzisiaj już lepsze nastawienie do pracy? - i mrugnął do niej konspiracyjnie.

Jego dobry humor był zaraźliwy, toteż ze śmiechem Mary Beth odpowiedziała:

- Tak. Teraz jeżeli ktoś dzwoni do, na przykład, pana Franchetti, to wiem, że taki tu pracuje.

- No cudownie. Niebawem będzie to pani robić na pamięć i praca będzie panią nudzić.

To, co powiedział, wydało jej się trochę dziwne i, na wszelki wypadek, wołała nic nie odpowiadać. George siedział na brzegu biurka, kiedy rozmawiali, i ani ona, ani on nie zauważyli, kiedy weszła pani Volney.

- Dzień dobry, panie Walker, dzień dobry pani - powiedziała lodowato, a jej zachowanie dobitnie świadczyło, że nie pochwala takiej poufałości.

- Dzień dobry, pani Volney.

- Dzień dobry, Claire - George nie przestawał się uśmiechać, i kiedy się do niej odwrócił, łód momentalnie stopniał. Następnie odwrócił się ponownie do Mary Beth i pożegnał się z udawaną obojętnością:

- Miłego dnia.

- Dziękuję, panie Walker.

Gdy wyszedł, kierowniczką zapytała fałszywie brzmiącym, koleżeńskim tonem:

- Gotowa dzisiaj do jakiegoś pisania?

Mary Beth zawiodła się. Tak bardzo liczyła, że będzie mieć jeszcze dwa czy trzy dni, żeby nabrać wprawy w tych telefonach. No cóż, jak widać, tak nie będzie.

- Spróbuję, pani Volney.

- Chodzi o prostą sprawę. Proszę po prostu przepisać tę poprawioną listę. Nie ma pośpiechu.

Uśmiechnęła się niewyraźnie do odchodzącej kierowniczką i rzuciła okiem na listę. Nazwiska były czytelne, ale i tak nie miała zamiaru zacząć, dopóki nie zjawi się Gladys i coś jej poradzi. Zadzwoił pierwszy telefon i po chwili Mary Beth wpadła w wir pracy, zapominając o całym świecie. Opamiętała się dopiero o 10.30, kiedy Gladys, jak zwykle uśmiechnięta, podeszła do jej biurka.

- Słuchaj, Gladys, dostałam już coś do przepisania, a nie jestem w tym mocna. Zresztą, kierowniczką nic mi nie wyjaśniła. Czy, jak wrócę wcześniej, to pomożesz mi przez chwilę?

- Okay. I nie ma potrzeby się spieszyć. Nie mam nic przeciwko pisaniu. Nie znoszę tylko telefonów.

- Dzięki.

Wyszła na moment na kawę i zobaczyła, że znowu, podobnie jak poprzedniego dnia, pokój, w którym stał automat, był pusty. Wypiła szybko i dokładnie o 10.45 była z powrotem. Gladys od razu zabrała się do wyjaśniania.

- Podciągnij tu krzesło, i pokażę ci, jak to należy napisać.

Usiadła, a Gladys zaczęła powoli wyjaśniać, począwszy od marginesu i spacji, aż do drobnych szczegółów, które mogą ułatwić pracę. Na zakończenie, podając jej zestaw papierków korekcyjnych i biały tusz, dodała:

- A to nawet najgorszej maszynistce pomoże coś napisać.

Pomimo obaw, uśmiechnęła się. Gladys przepisała kilka pierwszych nazwisk na liście. Wszystko, co miała teraz zrobić, to przepisywać dalej według tego samego schematu. Usadowiła się wygodniej i kiedy miała zacząć, zadzwonił telefon. Połączyła

rozmowę i wróciła do przepisywania. Szło jej to bardzo powoli, bo za każdym razem zapamiętywała jedno słowo i wystukiwała je czcionka po czcionce. Czuła się trochę nieswojo, wyobrażając sobie, jak niepoważnie musi wyglądać, ale z drugiej strony, nie było się czym przejmować, bo z tego powodu przecież miała obniżoną pensję o 25 dolarów.

Popołudnie miała bardzo pracowite. Mnóstwo telefonów i przychodzący interesanci sprawili, że nie znalazła wiele czasu na pisanie. Nadeszła piąta, a ona jeszcze nie skończyła, więc zdecydowała, że musi zostać dłużej i przepisać do końca. Gladys, wychodząc z biura jako jedna z ostatnich, prawie że wybuchnęła śmiechem, kiedy ją zobaczyła pochyloną nad tym samym kawałkiem papieru.

- No, jak ci idzie?

- Staram się - odpowiedziała mimo wszystko z uśmiechem i odprężona.

Następną wychodzącą była pani Volney. Wydała się szczerze zaskoczona, że jeszcze ją widzi przy pracy.

- Pani poświęcenie jest godne pochwały, ale muszę ostrzec, że nie będziemy płacić nadgodzin.

- Nie spodziewałam się tego. Po prostu teraz, kiedy nie przeszkadzają mi telefony, mam wspaniałą okazję trochę poćwiczyć.

Jakby nie znajdując sposobu, w jaki by mogła to skomentować, dodała tylko:

- Proszę nie zostawać długo i proszę pamiętać o drzwiach.

- Do widzenia pani.

Kiedy się ocknęła, była już za kwadrans szósta. Pomyślała, że zostanie do szóstej i na tym zakończy pracę. Do tego czasu zdołała jeszcze przepisać stronę, nad którą pracowała. Kiedy wstawiała od biurka, żeby się rozprostować, usłyszała znajomy głos:

- Co za miła niespodzianka. - George Walker, w koszuli z podwiniętymi rękawami, stał przy niej. - Co za okropna praca. Dopiero drugi dzień, a pani pracuje po godzinach.

- Nie, to nie tak. Zostałam z własnej woli. Nie radzę sobie dobrze z maszyną, a pani Volney dała mi coś do przepisania. Powiedziała, że nie muszę się spieszyć, ale ja i tak potrzebuję trochę praktyki, więc pomyślałam, że zostanę na chwilę. Ale już wychodzę.

Uwielbiała jego uśmiech. Mogła tak stać całymi godzinami, tylko po to, by patrzeć, jak ta twarz jaśnieje, a oczy migocą, kiedy coś mówi. Czy on w ogóle się kiedy złości albo bywa smutny? Był zawsze w tak pogodnym nastroju.

- Domyślam się, że nie ma pani żadnych planów na dzisiejszy wieczór?

- Nie.

- Żadnej randki, zakupów?

Pokiwała głową.

- A co pani zamierza robić po wyjściu stąd?

- Iść do siebie, wziąć prysznic, przebrać się i może pójde gdzieś coś zjeść.

- Nie lubi pani gotować?

- Nie, dlaczego? Lubię. Ale mieszkam w hotelu pani Cranford na Front Street, no i tam nie można gotować.

- Czy to jeden z tych hoteli dla kobiet? Rygor i tak dalej?

- Jeszcze jaki - uśmiechnęła się.

George sprawiał wrażenie, że bawi go ta rozmowa.

- Godzina policyjna i całe te ceregiele?

- No właśnie.

- I jak pani to znosi?

- Nie przeszkadza mi to. Przez te przepisy i ograniczenia czuję się nawet jak w domu.

- A gdzie jest ten dom?

- W Sedalii w Missouri.

- Nie znam - powiedział cicho, coraz bardziej wpatrując się w nią.

- I nic dziwnego, ale dla mnie to był dom.

- A dlaczego pani przyjechała do San Francisco?

- To długa historia. I nudna - powiedziała to w nadziei, że nie poprosi, aby dalej opowiadała.

- W takim razie, jeśli oczywiście nie myśli pani, że się narzucam, zapraszam na kolację i tam mi wszystko pani opowie.

Oszłomiła ją ta propozycja. Do tego stopnia, że nie mogła zdobyć się na żadną odpowiedź.

- Oczywiście, jeśli pani nie ma ochoty, to wszystko w porządku.
- Nie, nie. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Bardzo chętnie. Nie spodziewałam się...
- To świetnie. Uporządkuję tylko parę rzeczy w biurze i możemy iść.

Mary Beth pobiegła do toalety. Wymyła twarz i nałożyła świeżą warstwę szminki. Serce waliło jej tak mocno, że w każdej chwili zdawało się wyskoczyć z piersi. Powoli, zaczęła się sama uspokajać: - Nic o nim nie wiesz. Jego żona pewnie wyjechała, albo... lubi odmianę od czasu do czasu. Nie rób sobie nadziei. - I cały czas, kiedy tak się uspokajała, nie wierzyła w nic z tego, o czym myślała. Miała to być jej pierwsza w życiu randka z mężczyzną. Z dojrzałym mężczyzną.

Gdy wychodziła, uderzyło ją, że mógł pomyśleć, iż specjalnie została dłużej, żeby się z nim spotkać. Nie, niemożliwe. Przecież nie wiedziała, że on zostaje.

George czekał na nią z nieodłącznym uśmiechem. Zanim wyszli, upewniła się, czy drzwi są zamknięte. W windzie nie rozmawiali, dopiero na zewnątrz George zapytał, gdzie chciałyby pójść.

- Wszystko jedno. Jestem przecież obca w mieście.
- Faktycznie. Zapomniałem.

Zabrał ją do jakiejś restauracji, gdzie usiedli w rogu, z dala od innych gości. George zamówił martini, a ona białe wino.

- No i jak się pani podoba praca w biurze?
- Jak na razie, w porządku. Nigdy nie podziękowałam, że mi pan powiedział o...
- Nie ma za co. Naprawdę. Zawsze mamy kłopoty z tą posadą. Mam nadzieję, że pani nas nie zostawi.
- Ja też.

Stała się do tego stopnia podejrzliwa, że przez chwilę myślała, iż zaprosił ją po to, żeby się upewnić, że zostanie w firmie. Coś chyba nie tak ze mną - przemknęło jej przez głowę - dlaczego miałby się tym przejmować? To sprawa pani Volney.

- Miała mi pani opowiedzieć, dlaczego pani przyjechała do San Francisco. Opowiedziała mu skróconą historię swojego życia aż do przyjazdu do tego miasta.
- A pan? Proszę mi opowiedzieć o sobie - zdumiona była własną odwagą.
- A cóż ja mogę opowiedzieć takiego, co by interesowało młodą, atrakcyjną kobietę?

- To może już ja osądzę - powiedziała, zdając sobie sprawę, że zaczyna flirtować.

- Jak pani wie, jestem prawnikiem. Mam czterdzieści cztery lata.

Zdumiało ją to oświadczenie. Z pewnością na tyle nie wyglądał. Musiała sprawiać wrażenie bardzo poruszonej, bo pierwszy raz zobaczyła smutny uśmiech na jego twarzy.

- Rozczarowałem panią?

- Nie. Raczej zaskoczył mnie pan. Wygląda pan tak młodo.

- Pan, pan; może George. Jesteś słodka z... mogę tak mówić? - Skinęła głową - jesteś słodka z tym: wygląda pan tak młodo. Ale muszę przyznać, że cieszy mnie, że tak myślisz.

- Naprawdę tak myślę. No i co jeszcze pan... mi opowiesz?

- Jestem wdowcem. Mam syna i córkę. Oboje studiują i nie mieszkają ze mną. Żona zmarła dwa lata temu na raka i od tego czasu prowadzę żywot starego kawalera.

- Przykro mi.

- Nie ma powodu. O takich rzeczach los decyduje za nas. Utrata żony była ciężkim ciosem - ona była bardzo młoda, ale utrata dzieci... to znaczy, nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiała, ale... córka wyjechała na studia zaraz po śmierci żony, a syn rok później. Nagle zostałem pozbawiony życia rodzinnego i pełnego domu i zostałem sam - nie mówił tego, żeby wzbudzić w Mary Beth współczucie, lecz po prostu stwierdzał fakty. - To już chyba wystarczy. A teraz, co zjemy?

Rzuciła okiem na menu i zapytała:

- A co proponujesz?

- A jak bardzo jesteś głodna?

- Coś bym zjadła.

- W takim razie proponuję stek. Jeżeli lubisz.

- W porządku.

Przyszedł kelner i odebrał zamówienie. George poprosił jeszcze o drugie martini, a ona poprzestała na jednym winie.

- Jaka jest twoja specjalność?

- W czym? - zapytał na powrót już w dobrym nastroju.

- Jako prawnika - szybko wyjaśniła, licząc, że przytłumione światło ukryło rumieniec.

- Prawo handlowe. Spółki, transakcje i te rzeczy. Nic z tego, co pokazują w serialach.

- Lubisz to?

- Bardzo. A przynajmniej tak było kiedyś. Teraz straciłem trochę wigoru i to zaczyna być widoczne w tym, co robię.

- Potrzebujesz czegoś nowego - poradziła prawie bezwiednie, nie zastanawiając się nad tym, co mówi.

- Naprawdę tak myślisz?

- To znaczy... może jakieś nowe hobby - wyjąkała. - Grasz w tenisa albo golfa?

- Tak. Nie jestem zbyt dobry ani w jednym, ani w drugim, ale grywam od czasu do czasu dla rozrywki.

- Zawsze chciałam grać w tenisa.

- Powinnaś.

Kelner przyniósł zamówione dania i zaczęli jeść. Mary Beth była bardziej głodna, niż jej się wydawało. George kilkakrotnie przestawał jeść i przyglądał się jej. Kiedy go przyłapała na tym zadumanym spojrzeniu, pomyślała, że może przypomina mu córkę.

- Pewnie nie powinienem w ten sposób mówić, jako prawnik i tak dalej, ale bardzo lubię patrzeć na kobietę, jak je. Moja żona była taka.

- Byłoby grzechem zamawiać jedzenie, a potem pozwolić mu się zmarnować.

- Zawsze jesteś taka praktyczna?

- Prawie nigdy - odpowiedziała ze śmiechem.

- Ale... mówisz tak, tak praktycznie.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

- Prawda.

Dopili właśnie kawę i kolacja była zakończona. George wyciągnął rękę nad stołem i położył na jej dłoni.

- Chciałem ci powiedzieć, że spędziłem bardzo przyjemny wieczór.

Cofnęła szybko rękę. Nie dlatego, żeby nie chciała czuć jego dotyku, ale dlatego, że kiedy położył dłoń na jej dłoni, przeszedł ją dreszcz i zaczęła drzeć na całym ciele. Nie chciała, żeby zauważył.

- Pójdziemy już.

Wstała i poszła w kierunku wyjścia, kiedy George regulował rachunek. Na zewnątrz był kolejny, cudowny jesienny wieczór. Migoczące gwiazdy i księżyc nadający wszystkiemu wokół wyjątkowego blasku.

- Godzina policyjna o której?

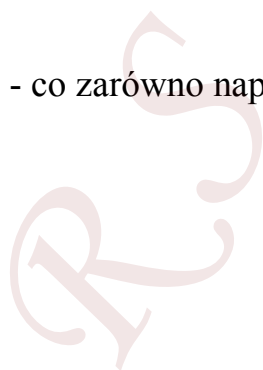
- O północy.

- To jeżeli się nie spieszysz, mamy czas na spacer do hotelu.

- Wspaniale - powiedziała szczerze, marząc, żeby ten wieczór się nigdy nie skończył.

Szli obok siebie, każde zatopione w swych własnych myślach. Chociaż nie dotykali się, oboje czuli, że są razem. Na każdym skrzyżowaniu George brał ją lekko pod rękę i przeprowadzał na drugą stronę. Gdy przeszli, puszczał ją i szli dalej obok siebie. Mógł się wydawać trochę sztywny, ale wystarczyło spojrzeć mu prosto w oczy, żeby odkryć duże poczucie humoru.

Mary Beth była już zakochana - co zarówno napawało ją szczęściem, jak i przerażało.



8

Następne tygodnie minęły bardzo szybko. Praca Mary Beth stawała się coraz bardziej wydajna. Nawet pisanie na maszynie poprawiło się do tego stopnia, że kierowniczka pochwaliła ją za postępy.

Ale tym, co przede wszystkim wypełniało jej życie i najbardziej ją poruszało, były cotygodniowe - w każdy weekend - spotkania z George'em. Nikt nie wiedział o ich romansie, chociaż Cynthia próbowała z niej coś wyciągnąć jednego wieczoru, kiedy poszły razem do kina. Po seansie zatrzymały się w kawiarni i właśnie tam, w trakcie rozmowy, Cynthia zagadnęła:

- Kim jest ten facet?

- Jaki facet? - Wbrew sobie, zaczerwieniła się.

- No, daj spokój, Mary Beth. Dziewczyna zupełnie inaczej wygląda, jak jest zakochana albo ma kogoś na stałe. Ty tak właśnie wyglądasz.

Znalazła się w niemałym kłopotcie. Z jednej strony, nie chciała kłamać Cynthii, a z drugiej, nie chciała ujawniać żadnych szczegółów dotyczących jej związku z George'em. Chciała zachować to w tajemnicy, dopóki... - nie wiedziała jak długo. W głębi serca żywiła nadzieję, że George podejmie jakieś kroki, by sformalizować ten związek, ale że nie zrobił nic takiego dotychczas, była przesądna i wołała o tym nie rozmawiać.

- No co? Powiesz mi wreszcie, kto to jest?

- Szczerze mówiąc, to wołałabym nie.

- Jak chcesz. To twoja sprawa.

- Słuchaj, Cynthia. Przecież wiesz, że ci ufam, i to nie dlatego, żebym ci nie chciała powiedzieć. To jest tak, że my jesteśmy tylko przyjaciółmi i dlatego nie ma o czym mówić.

- Daj spokój. Wystarczy popatrzeć na ciebie i już widać, że jesteś zakochana po uszy. Tylko przyjaciółmi - ładnie. Widać przecież, że cały czas się zastanawiasz, co z tego wyniknie.

- Nie zaprzeczam. Ale do momentu, aż on czegoś nie zrobi, muszę czekać.

- No cóż, zbliża się Boże Narodzenie; może dostaniesz pierścionek w prezencie.

- Wątpię.

- Jest biedny?

- Nie, to nie to. Naprawdę, Cynthia, nie chcę o tym rozmawiać.

- To znaczy, że jest żonaty - Mary Beth wydało się, że widzi uśmiešek zadowolenia na jej twarzy.

- Nie. Nie jest żonaty. Jest wdowcem.

Była trochę zła na siebie, że jednak powiedziała więcej, niż zamierzała. Nie dlatego, żeby George prosił ją o zachowanie tajemnicy, albo żeby były jakieś inne powody. Czuła tylko, że nie powinna tego robić, dopóki nie będzie pewna, że coś z tego wyjdzie.

Cynthia najwyraźniej zdecydowała na tym poprzestać, bo zakończyła jedną, zdecydowaną uwagę:

- Tylko bądź ostrożna i nie pozwól wykorzystywać swoich uczuć.

Poruszyła ją tym. Cynthia dopytywała się widocznie w trosce o nią, a ona potraktowała ją jak intruza.

Następnego dnia był piątek. Ze względu na ograniczenia czasowe Mary Beth, umawiali się z George'em bezpośrednio po pracy. Tego popołudnia jednak pani Volney również została dłużej w biurze, żeby coś dokończyć.

George przeszedł koło jej biurka i szepnął jej na ucho:

- Claire jest jeszcze w biurze; może lepiej będzie, jak się spotkamy u Jimmie'ego.

Wydało jej się to dziwne, ale już wcześniej oboje się zgodzili, że byłoby lepiej, gdyby nikt w biurze nie wiedział, że się spotykają. Pokiwała głową, że się zgadza. George wrócił do swojego biura, a ona wyszła do toalety. Nie była tam dłużej niż piętnaście sekund, kiedy weszła kierowniczką. Weszła do jednej z kabin, a Mary Beth pośpiesznie kończyła makijaż, żeby zdążyć zanim ona wyjdzie, i nie musieć z nią rozmawiać. Nie udało się. Wyszła i widząc Mary Beth zajętą przed lustrem, uprzejmie, aczkolwiek chłodno zapytała:

- Jakieś spotkanie?

Uśmiechnęła się również uprzejmie, ale nie mogła się zdobyć na to, aby coś powiedzieć. Zupełnie bez powodu zaczęła drzeć.

- Czy ma pani już jakichś przyjaciół?

Był to pierwszy raz, kiedy pani Volney, przez wszystkie te tygodnie, odkąd tu pracuje, zadała jej pytanie dotyczące jej spraw osobistych a nie związane z pracą. Już samo to kazało Mary Beth mieć się na baczności.

- Tak.

- To dobrze.

Wolała nie czekać na dalsze pytania, więc pożegnała się szybko:

- Dobranoc pani. Udanego weekendu.

- Dziękuję. Również.

Rozmowa była zupełnie nieszkodliwa, ale Mary Beth odczuła coś, co wróżyło nieszczęście. Postanowiła wziąć taksówkę, a nie jechać tramwajem na Fisherman's Wharf. Restauracja, w której mieli się spotkać, była jedynym miejscem, które ona pokazała George'owi. Spodobała mu się i oboje lubili tam chodzić.

Przyjechała wcześniej i dla zabicia czasu zaczęła spacerować w pobliżu restauracji. Po niedługim czasie jednak zmieniła zdanie. Było zimno; chłodny wiatr zacinał od zatoki i nawet ciągły ruch nie chronił jej przed przeszywającym zimnem. Weszła do środka. Obsługa ją знаła z widzenia i kiedy wyjaśniła Jimmie'emu, że umówiła się na spotkanie i jeszcze na kogoś czeka, powiedział, że to nie ma znaczenia, i zaprowadził ją do stolika. Kiedy podał jej białe wino, zaczęła pić je powoli, w nadziei, że to pomoże jej się rozgrzać.

Czekała tylko parę minut, kiedy przyszedł George, z nieodłącznym uśmiechem na ustach. Bez względu na to jak się czuła, zawsze kiedy widziała ten uśmiech, ogarniało ją ciepło i dobroć. Mój Boże - pomyślała - jak ja go kocham.

- Przepraszam, że cię tak samą wysłałem, ale szczerze mówiąc, mam niejasne przeczucie, że Claire podejrzewa, że się spotykamy.

- Tak?

- Nie przejmuję się tym za bardzo - pochylił się nad stołem, biorąc jej rękę w swoje - ale dopóki sami nie jesteśmy pewni, dokąd zmierzamy, wolałbym ograniczyć biurowe plotki do minimum.

- Ale dlaczego ona miałaby się przejmować tym, co robisz ze swoim życiem prywatnym?

Spojrzał na nią zgorzkniale.

- Zanim zjawiałaś się w moim życiu, spotykałem się z nią.

- Aha.

- Znam Claire już bardzo długo. Kiedy żona zmarła i dzieci wyjechały na studia, była wyrozumiała i bardzo mi pomogła. Ale nie kochałem i nie Kocham jej.

Mary Beth wstrzymała oddech. Czy teraz powie, jak bardzo ją kocha? Jeśli tak, to już więcej nie będzie miała o co się martwić.

- Claire zna również moje dzieci i one też ją znają.

- Rozumiem - powiedziała głosem, który wydał się jej pusty.

- A właśnie. Dzieci przyjeżdżają na Boże Narodzenie. Bardzo chciałbym, żebyś je poznała, i miałem nadzieję, że może spędzisz święta z nami.

Była oczarowana tą propozycją. Nie mogła sobie wyobrazić nic bardziej przyjemnego niż święta z George'em. Z drugiej jednak strony, nie chcąc przysparzać kłopotów, wołała go ostrzec:

- A czy nie sądzisz, że dzieci wolałyby cię mieć wyłącznie dla siebie podczas tak krótkiej przerwy?

- Nie chcesz ich spotkać? - George wydawał się lekko zaskoczony.

- Chcę. Bardzo. Tylko pomyśl, George, czy to dobry pomysł, żebyś przedstawiał mnie dzieciom akurat teraz, podczas świąt.

- Chyba nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi - odpowiedział, patrząc na nią z wyrazem zatroskania na twarzy.

Przez chwilę się zastanawiała, szukając i dobierając w głowie słowa, które by najlepiej wyraziły to, co jego dzieci mogą odczuć.

- Po pierwsze, jeśli chodzi o mnie, to będą to moje pierwsze święta bez ojca. I gdziekolwiek będę i cokolwiek będę robiła, to i tak, siłą rzeczy, będę wracała myślami do tych wszystkich świąt, które spędziłam z rodzicami. Zobaczysz, że ty i twoje dzieci, co jest zresztą zupełnie naturalne, zaczniecie wspominać czasy, kiedy one były jeszcze małe. I tak, w końcu, będziecie rozmawiać o czasach i rzeczach, które ze mną nie mają nic wspólnego.

- Ale ja chcę, żeby cię poznały. To bardzo ważne dla mnie.

Odetchnęła ciężko. Widać było, że nie ma pojęcia, jak wiele ją kosztowało to, co powiedziała przed chwilą. O niczym przecież bardziej nie marzyła jak o świątach, które by

mogła z nim spędzić. Ale chciała też być fair w stosunku do jego dzieci, które mają prawo oczekiwać, że poświęci im całą uwagę przez tak krótki czas, który mogą spędzić w domu.

- To może pójdźmy na kompromis, co? Pierwszy dzień świąt spędzisz sam z dziećmi, a ja do was dołączę na drugi dzień.

George zmarszczył brwi. Nie tak sobie wyobrażał te święta. Był przekonany, że dzieci pokochają ją tak bardzo, jak on ją kochał.

- Zgadzam się. Ale tylko dlatego, żeby było tak, jak ty chcesz.

- Dziękuję, George.

Jimmie przyniósł im to, co zamówili, i zaczęli jeść. Prawie nie rozmawiali. W pewnej chwili usłyszeli znajomy głos:

- Dobry wieczór.

Jednocześnie unieśli głowy i zobaczyli Claire Volney z jakąś drugą kobietą. Mary Beth była zbyt zakłopotana, żeby cokolwiek zrobić czy powiedzieć, ale George zachował spokój. Wstał z krzesła i spokojnie powiedział:

- Dobry wieczór, Claire.

Mary Beth dalej nie odzyskała spokoju na tyle, aby coś powiedzieć. Patrzyła tylko na Claire Volney, która przechodząc do swojego stolika posłała jej piorunujące spojrzenie. George usiadł. Chociaż wcześniej tak bardzo nalegał, żeby unikać tej kobiety, teraz nie zdradzał żadnych oznak podniecenia.

- W końcu i tak musiałyby się dowiedzieć.

Milczała dalej. Na pewno niewiele mogła zrobić jemu, ale jej mogła uprzykrzyć życie w niewyobrażalny sposób. I Mary Beth była pewna, że to zrobi.

Kiedy skończyli jeść, było jeszcze wcześnie, więc George zaproponował przejażdżkę.

- Jakoś nie mam ochoty.

- Czy coś się stało?

- Nie. Czuję, że głowa zaczyna mnie boleć i raczej wolałabym wrócić do siebie i się położyć.

- A może zaczyna cię brać jakaś choroba?

Wydawał się mocno zatroskany. Oczywiście, nie zdawał sobie sprawy, że taka mieszanka - zbliżające się święta i związane z tym plany, poznanie jego dzieci i wreszcie

nieoczekiwane spotkanie Claire Volney - była wystarczającym powodem, żeby poczuła ból głowy.

- Nie wiem. Może rzeczywiście bierze mnie jakieś przeziębienie.

- Chodźmy.

Już w taksówce, po drodze do hotelu, George zaproponował:

- Jeżeli jutro nie będziesz się czuła dobrze, to zadzwoń. Odłożymy spotkanie.

Wcześniej zaplanowali, że wybiorą się samochodem za miasto w poszukiwaniu drzewka. Wiedziała, że jej zmęczenie do jutra minie, że było chwilowe: emocjonalne bardziej niż fizyczne, a jednak odczuwała rzeczywisty ból.

- W porządku.

Następnego ranka, po dość ciężkiej nocy, obudziła się jakaś ospała i bez chęci do życia. Prawie żałowała, że nie były to jednak początki choroby, co może by jej dało trochę czasu na przemyślenia.

Może to wszystko działo się za szybko. Może nie była przygotowana na małżeństwo z George'em - jeżeli taki miał być ostateczny rezultat. A może po prostu była przestraszona. Każda z tych możliwości była sensowna, ale żadna z osobna i wszystkie razem nie tłumaczyły jej obecnego stanu. Kochała George'a - tego była pewna. Jednakże małżeństwo stawiałoby ją od razu wewnątrz rodziny. Poza tym była jeszcze Claire Volney, która - co teraz było już oczywiste - chciała go zaciągnąć przed ołtarz.

Cały rano rozważała, czy ma zadzwonić do George'a i odwołać spotkanie, czy nie. Miała pod ręką gotową wymówkę, ale wiedziała, że jeśli to zrobi, to ma przed sobą koszmarne dni. Odkładała decyzję z minuty na minutę, a rano mijał, aż w końcu nadeszła pora, kiedy miał po nią przyjechać.

Ubrała się ciepło, bo zapowiadał się chłodny dzień, i kiedy wychodziła, natknęła się w drzwiach na Cynthię.

- Cześć.

- Cześć. Byliśmy wczoraj z Billem na kolacji i pytał o ciebie.

- Jak mu leci? - poczuła się winna, ponieważ nie widziała go już kilka tygodni.

- W porządku. Dalej taki sam.

Mary Beth uśmiechnęła się na wspomnienie jego błazeństw. Cynthia natomiast już zmieniła temat:

- Czy masz już jakieś pewne plany na przerwę świąteczną?

- W zasadzie nie.

Ta odpowiedź, udzielona nie bez pewnego wahania, sprowadziła uśmiech na oblicze Cynthii:

- Dalej ta sama tajemnica.

- No, niezupełnie, prawdę mówiąc, dostałam zaproszenie, ale go jeszcze nie przyjął.

- Myślałam, że może pojedziesz do Sedalii na kilka dni.

Wspomniała jej kiedyś o ciotce Blanche. Nigdy potem o tym nie rozmawiały, dlatego też zaskoczyło ją, że Cynthia pamięta takie szczegóły.

- Wygląda na to, że raczej nie.

- W każdym razie, cokolwiek byś robiła, pamiętaj, że spotykamy się z paroma przyjaciółmi u Billa, więc zawsze możesz wpaść.

- Bardzo miło, że pamiętasz o mnie.

Cynthia nic nie odpowiedziała i na tym rozmowa się zakończyła.

Mary Beth poszła w kierunku biura. Róg ulicy, na której się znajdowało, był zwyczajowym miejscem, gdzie się spotykali w weekendy. George nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie chciała, żeby zabierał ją spod drzwi hotelu, ale nalegała. Bała się, że pani Cranford - gdy go zobaczy - może się to nie spodobać. Nie miała żadnego, nawet najmniejszego powodu, żeby tak przypuszczać, ale logika w jej stosunkach z George'em nie odgrywała żadnej roli.

Czekała tylko kilka chwil na pojawienie się George'a. Z daleka zobaczyła jego szarego lincolna. Lubiła ten samochód, a szczególnie to odczuwała, kiedy olbrzymie, skórzane siedzenia oddziaływały na jej zmysły. Nigdy się tym nie interesowała i nigdy też rozmowy między nimi nie zawiodły ich do kwestii pieniędzy, ale miała wrażenie, że George jest dość zamożny. Wsiadła do środka i odjechali. Wymienili tylko krótkie powitania i zapadła - niezwykła w ich przypadku - cisza. Z czasem milczenie stało się nie do zniesienia, lecz żadne z nich nie mogło się zdobyć na rozpoczęcie rozmowy.

George manewrował samochodem po wąskich ulicach San Francisco, a ona przyglądała mu się z boku. Miał zaciętą twarz i wydawał się skoncentrowany na tym, co

robi. Wyobrażała sobie, że tak mniej więcej musi wyglądać na rozprawie w sądzie. Zdecydowanie nie wyglądał na swoje czterdzieści cztery lata.

Jechali na wschód i wkrótce znaleźli się na moście do Oakland. Dzień, mimo że chłodny, był bardzo pogodny. George dalej, wyjąwszy powitanie, nie odezwał się do niej ani słowem. Gniewał się z jakiegoś powodu. Może dlatego, że nie zgodziła się spędzić całych świąt z nim i jego dziećmi. W pewnym momencie poczuła nieodpartą potrzebę przerwania tego chłodu, który nieustannie narastał, ale nie umiała tego zrobić. Znowu dał się we znaki jej brak kontaktów towarzyskich i nieumiejętność postępowania w podobnych sytuacjach. Powinna była zadzwonić i odwołać to spotkanie.

W końcu wyjechali za miasto. George odprężył się widocznie i w formie usprawiedliwienia powiedział:

- Ruch był niemożliwy.

Dla niej był taki sam jak zwykle, ale w tych warunkach wołała tego nie mówić.

- Gdzie chciałabyś zjeść lunch?

- Zostawiam to tobie.

- Żadnych szczególnych życzeń? - zdawało się, że jest niezadowolony, i miała wrażenie, że mógłby się zezłościć bardzo szybko, gdyby powiedziała coś niewłaściwego.

- Nie, George. Cokolwiek wybierzesz, będzie dobrze.

Oderwał na moment oczy od szosy i spojrzał na nią.

- Wiesz, Mary Beth, zawsze jesteś taka zgodna. Jak to się stało, że się tak uparłaś co do tych świąt?

- Wcale się nie uparłam. Chciałam być tylko rozsądna i to wszystko.

- Ja to widzę inaczej.

- George, jeżeli naprawdę chcesz, żebym spędziła całe święta z twoją rodziną, to zrobię to z wielką przyjemnością.

Momentalnie przeistoczył się zupełnie. Twarz rozbłysła, a promienny uśmiech zajął miejsce zatroskanej miny.

- To lubię - wybuchnął radośnie, i dalej, już w nieco spokojniejszym tonie dodał: - Mary Beth, wiesz przecież co do ciebie czuję, nawet jeśli nigdy tego nie wyraziłem w słowach.

Wstrzymała oddech, ale słowa, na które czekała, nie nadchodziły. Niemniej jednak to, co teraz powiedział, było najbliższe wyznaniu miłości ze wszystkiego, co dotychczas od niego usłyszała.

Dzień był wspaniały. Poranne nieporozumienie i chłód zniknęły bez śladu, ustępując miejsca radości. Śmiali się jeszcze częściej niż zwykle i wydawać się mogło, że byli w sobie jeszcze bardziej zakochani.

Niestety, po niedzieli miał nadejść poniedziałek, który - mimo, że jeszcze odległy - mącił jej całą przyjemność, jaką by czerpać można z tych godzin. Niebawem miała się spotkać twarzą w twarz z Claire Volney i jedyną nadzieją, której się trzymała, było to, że kierowniczka nie będzie prowadzić otwartej wojny.

Myliła się. Już na wstępie zignorowała jej pozdrowienie. Całe dopołudnie szalała, uprzykrzając życie nie tylko jej, ale praktycznie wszystkim pracownikom biura. Jak na razie nie wystąpiła otwarcie przeciwko Mary Beth, ale ta, z charakterystycznym uciskiem w żołądku, oczekiwała ataku w każdej chwili. Punktualnie o 10.30 zjawiała się Gladys.

- Duży ruch?

- Urwanie głowy - jak zwykle w poniedziałek.

- A jeśli dodać do tego zły humor Claire, to zapowiada się piekielny dzień.

Nie zareagowała na to odniesienie do Claire. Wiedziała, że sama była powodem tego zamieszania, i postanowiła udawać, że nic nie zauważyła. Na nieszczęście właśnie wtedy pojawiła się przy nich szefowa i z sarkazmem zapytała:

- Czy wy dwie nie macie nic lepszego do roboty, niż stać tutaj i plotkować?

Atak był bezpodstawny. Mary Beth czuła się zbyt niepewnie, żeby się bronić, ale Gladys długo się nie zastanawiała:

- Nie wiem, co cię ugryzło, ale Mary Beth i ja wcale nie plotkujemy. Zresztą dobrze wiesz, że Mary Beth jest pierwszą telefonistką w tym biurze, która przychodzi i załatwia wszystko na czas.

- No tak. Nasza mała, święta Mary Beth. Niewiniątko. - Jej wargi wykrzywiły się w szyderym uśmiechu.

Mary Beth się zaczerwieniła, a Gladys, jeszcze bardziej stanowczo, odparła:

- Claire, co ci się stało? Ta uwaga była nie na miejscu.

- Nikt mi tutaj nie będzie mówić, co jest na miejscu, a co nie, dobrze?

- Dobrze. Ale na pewno by ci się ktoś taki przydał. Powinnaś przeprosić Mary Beth. - Gladys zmieniła się w kłębek nerwów.

- Nie zapominasz się?

- Za stara jestem, Claire, żebym się ciebie bała. I jeżeli ktoś tu się zapomina, to ty.

Claire Volney posłała jej obrażone spojrzenie i wróciła do swojego biura. Mary Beth była tak roztrzęsiona i zakłopotana, że od razu postanowiła się zwolnić. Gladys objęła ją jedną ręką i w łagodnym, uspokajającym tonie zwróciła się do niej:

- Przykro mi, że Claire się tak zachowuje. Zawsze jest nie w humorze, kiedy zbliżają się jakieś święta. Ale to, co dzisiaj wyprawia, to już przechodzi wszelkie pojęcie. Spróbuj po prostu nie zwracać na to uwagi. Po Nowym Roku jej przejdzie.

Mary Beth nie mogła powiedzieć Gladys, że prawdziwy powód zdenerwowania kierowniczką nie ma nic wspólnego ze świętami.

- Idź i zrób sobie kawę. I nie spiesz się. Odpocznij, aż się jakoś pozbierasz.

Mary Beth skinęła głową i poszła po kawę. Pech chciał, że w pokoju była już Claire Volney. Mary Beth miała zamiar się wycofać, ale spojrzenie, które skierowała w jej stronę kierowniczką, przykuło ją do miejsca. Zdażyła tylko pomyśleć, że może ktoś wejdzie i uratuje ją przed następnym atakiem, ale nic się takiego nie stało i Claire, szybko, bez zbędnego wstępu, zapytała wprost:

- Od kiedy włączysz się tak z George'em Walkerem?

Mary Beth zdobyła się teraz na odrobinę odwagi:

- Nie włączę się z nikim.

- To śmieszne. To co w takim razie robisz?

- To moja sprawa.

- O! Nasze niewiniątko ma pazurki. Powinnam była cię podejrzewać od samego początku, kiedy George powiedział mi o tobie.

- Podejrzewać? O co?

- O to, że jesteś żmija. A ta niewinna mała dziewczynka, to tylko, żeby złapać George'a. Dlaczego, na przykład, zgodziłaś się na taką marną pracę, jeśli nie po to, żeby być blisko niego?

- Nie mam zamiaru słuchać tego dłużej. - Położyła rękę na klamce.

- Ale wysłuchasz - jej głos przeradzał się stopniowo w krzyk i Mary Beth wydawało się, że wszyscy w biurze ją słyszą. - George należy do mnie. Zanim się zjawiłaś, interesował się tylko mną.

- Gdyby tak było, to dalej byście się spotykali - Mary Beth powoli rozgrzewała się w walce.

- Ale pewnie bym mu nie dawała tego, co ty rozdajesz, komu popadnie.

- Pani jest wulgarna.

- A ty taka święta, co?

- To moja sprawa.

Mary Beth wyszła. Zbliżała się w stronę biurka z roziskrzonymi oczyma. Gladys już z daleka widziała, że coś jest nie w porządku.

- Coś się stało?

- Czekala na mnie przy kawie.

- Co się z nią dzisiaj dzieje? Nigdy jej jeszcze takiej nie widziałam. Wypiłaś kawę? Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Dobra. Przyniosę ci kawę i wypijesz przy biurku.

- Nie. Ja wychodzę.

- Mary Beth, nie rób tego. Nie pozwól jej wykurzyć się, tak jak to robiła z każdą atrakcyjną dziewczyną, która tu pracowała. Nie zrobiłaś nic złego i nie masz się co wynosić tylko dlatego, że ona traci głowę.

Nie odpowiedziała, ale wiedziała, że Gladys ma rację i, w gruncie rzeczy, nie chciała tracić pracy.

- Proszę cię, i sama zresztą też to zrobię, żebyś pogadała z panem Franchettim o jej zachowaniu.

- Nie. Nie zgadzam się. Nie chcę być powodem dalszych kłopotów.

- I nie jesteś. Tylko Claire - Gladys dalej próbowała ją uspokajać - postaraj się przetrwać jakoś ten dzień. Zobaczysz, że to wszystko minie. - I widząc, że pani Volney właśnie przeszła obok, zostawiła Mary Beth i poszła za nią do jej biura.

Reszta dnia minęła spokojnie. Kierowniczka omijała ją i ona również trzymała się z dala. Kiedy wychodziła z biura po piątej, zdawała sobie sprawę, że burza jeszcze nie minęła, tylko przycichła na chwilę.

Przez kilka następnych dni nic wyjątkowego się nie zdarzyło. Mary Beth nie zwolniła się - jak planowała w pierwszym odruchu, a raczej, ze zdwojoną energią przykładała się do swoich zajęć. Podobnie George, również pochłonięty był sprawami zawodowymi tak, że przez kilka dni nie mieli nawet okazji zamienić ze sobą paru słów. Z rozmów w biurze mogła się zorientować, że firma pracuje nad jakąś dużą sprawą, która miała być wniesiona na wokandę zaraz po Nowym Roku. Zajmował się tym George, ale sprawa była tak poważna, że pozostali partnerzy również mu w tym pomagali.

W czwartek rano kierowniczka podeszła do jej biurka.

- Czy pani już przepisała to zestawienie, które dałam pani wczoraj?
- Jakie zestawienie?
- Sprawa: Telecast przeciw Viewcast.
- Nic mi pani nie dawała.

Kierowniczka zmieniła ton na bardziej zdecydowany i stanowczy:

- Dałam pani kompletny rejestr i miała pani uzupełnić to zestawienie.
- Przykro mi, pani Volney, ale naprawdę nic mi pani nie dawała.
- Na pewno gdzieś to pani zawieruszyła. Proszę poszukać.

Odeszła szybko, a Mary Beth zabrała się do przeszukiwania biurka. Nie przyniosło to żadnego rezultatu, więc zajęła się czymś innym pewna, że ani Claire Volney, ani żadna z sekretarek nie dawały jej nic do przepisania. Po chwili pojawiła się Gladys.

- Słuchaj, Claire mi powiedziała, że masz u siebie ten rejestr: Telecast przeciw Viewcast. Mogę go wziąć na moment?

Mary Beth stawała się coraz bardziej zakłopotana.

- Nie mam żadnego rejestru.
- Jesteś pewna? Ten rejestr jest bardzo ważny, a nie ma go w głównych aktach.
- Tak. Jestem pewna.
- Dobra. Sprawdzę u prawników.

Gladys odeszła, a ona zaczęła mieć złe przeczucia. Przecież jeżeli go nie znajdą, to ona zostanie winowajcą. Biuro w przeciągu kilku minut zamieniło się w istny ul. Wszyscy,

dosłownie wszyscy krzżeli się w poszukiwaniu rejestru przez godzinę. Kiedy stało się oczywiste, że poszukiwania są bezowocne, zrezygnowana Gladys jeszcze raz zapytała:

- Słuchaj, Mary Beth, Claire stanowczo twierdzi, że dała ci ten rejestr.

- Nie mam go.

- A czy jest możliwe, że przez nieuwagę dałaś go jednemu z gości, kiedy odbierał inne papiery?

- Nie sędę - odpowiedziała bez przekonania.

- Zadzwoń do wszystkich firm, do których wczoraj coś odsyłałaś. Może jednak gdzieś się zapodział.

Zaczęła dzwonić po kolei do wszystkich firm i w końcu znalazła. Uradowana wykrzyknęła do Gladys.

- Mam!

- Gdzie?

- Zaraz go przyślę. Jest w firmie: Lowensten, Smith, Levine i Jones.

- Rany boskie!! Ta firma prowadzi sprawę obrony. Teraz mają dostęp do naszych akt. No to ładne piekło nas czeka!

Mary Beth usiadła z ciężkim sercem. Dalej nie miała pojęcia, w jaki sposób rejestr mógł się tam znaleźć. Na pewno nie wkładała go do koperty i nie opisywała. Mogła jedynie podać go gościowi. Z rozmyślań wyrwała ją Gladys:

- Pan Walker chce się z tobą zobaczyć w swoim biurze.

Podniosła się powoli. Czwała zbliżającą się katastrofę - może nie z jej powodu, niemniej jednak katastrofę. Sekretarka George'a, ze współczującym spojrzeniem, od razu ją skierowała do środka:

- Możesz wchodzić.

Wewnątrz były trzy osoby: George - z miną skupioną i surową, obok pan Franchetti i Claire Volney - której oczy błyszczwały z wyrazem zadowolenia.

- Proszę usiądź, Mary Beth - głos George'a był bardzo poważny.

Usiadła.

- Stała się rzecz bardzo poważna. Nasi przeciwnicy w tej sprawie mają teraz dostęp do naszych akt. Czy możesz mi powiedzieć, jak to się stało, że przesłałaś im ten rejestr?

- Nigdy go nie widziałam, panie Walker.

Zarówno ona, jak i George byli śmiertelnie poważni.

Kierowniczka mówiła raczej tylko rzeczowo - bez przesadnej powagi - aczkolwiek stanowczo:

- Może pani zapomniała, ale dałam pani ten rejestr, żeby mogła pani napisać zestawienie.

- Powtarzam: nie widziałam tego rejestru.

Pan Franchetti włączył się w typowym dla niego, łagodnym i przekonywującym tonie:

- Proszę sobie przypomnieć wydarzenia wczorajszego dnia. Była paczka, która miała być przesłana do Lowenstena. Nie możemy tylko zrozumieć, jak rejestr mógł dostać się do tej paczki.

Usta zaczęły jej drżeć na granicy płaczu. Roztrzęsiona, wyrzuciła z siebie:

- Panie Franchetti, ja nie przygotowuję żadnych paczek. Najwyżej dostaję je z instrukcjami.

- I jest pani zupełnie pewna, że nie podała pani gońcowi rejestru razem z paczką?

- Nie mogę być pewna - zaczęła, widząc uśmiech zadowolenia na twarzy Claire - ale jeżeli nie widziałam tego rejestru, to jak mogłam przez nieuwagę podać go gońcowi?

- Pani Volney twierdzi, że dała go pani.

- Wiem, co mówi pani Volney, ale wiem też, że go nie widziałam. Właściwie, to nie widziałam też pani Volney wczoraj przez cały dzień.

Pan Franchetti spojrzał najpierw na nią, potem na kierowniczkę, a potem jeszcze raz na nią i z ciężkim westchnieniem kontynuował:

- Jesteśmy w poważnym kłopotcie. Jeżeli nasz klient odkryje, że Lowensten miał dostęp do jego poufnych akt, może nas o to zaskarżyć. A taka sprawa to miliony dolarów.

Spojrzała ukradkiem na George'a. Miał bolesny wyraz twarzy i nic nie mówił.

- Może pani już iść.

Kiedy była już na korytarzu, biegiem rzuciła się w stronę toalety, gdzie wybuchnęła płaczem. Szlochała tak przez parę minut, a kiedy się trochę uspokoiła, wróciła do biurka.

Gladys, widząc jej czerwone oczy, odezwała się ze współczuciem:

- Claire chce cię widzieć.

Wiedziała oczywiście, że zostanie zwolniona, ale wolałaby wyjść już teraz, od razu, żeby nie musieć cierpieć raz jeszcze pod pogardliwym i zwycięskim spojrzeniem Claire Volney. Wiedziała, że nic złego nie zrobiła, a o jej winie można tylko domniemywać na podstawie okoliczności. Niemniej jednak to ona - a nie kto inny - była na straconej pozycji. Domyślała się niejasno, że Claire maczała w tym wszystkim palce, ale któż by jej uwierzył w tej sytuacji? Stała spokojnie, kiedy kierowniczka jej powiedziała:

- Musimy panią zwolnić natychmiast. Dostanie pani dwutygodniową odprawę.

Nie odpowiedziała. Po raz pierwszy w życiu czuła, jak wzbiera w niej uczucie nienawiści do innej istoty ludzkiej. Bała się, że jeżeli zacznie mówić, to skończy dopiero wtedy, gdy wyrzuci z siebie wszystko. Instynkt podpowiadał jej, że cała sprawa z tym rejestrem miała związek z jej uczuciem do George'a. Że Claire Volney spreparowała to wszystko, by ją i George'a zdyskredytować w oczach wszystkich. Nie mogła się bronić odsłaniając swe uczucia, bo to by mogło zaszkodzić George'owi.

Wyszła z głową wysoko podniesioną. Zebrała swoje rzeczy osobiste i chociaż czuła na sobie współczujące spojrzenie Gladys, nie zdobyła się ani na jedno słowo. Czuła, że wyrządzono jej ogromną krzywdę. Gladys odgadywała jej myśli i z szacunku dla niej również się nie odzywała.

Tego wieczora nie robiła nic, czekając do momentu, kiedy wiedziała, że George jest w domu. Nie obchodziło ją, co inni w biurze mówią i myślą o niej, o ile mogła być pewna, że on był przekonany o jej niewinności. Teraz, gdzieś w zakamarkach jej umysłu, czaiła się myśl, że to, co się wydarzyło, może rzucić cień na jej stosunki z George'em.

Zeszła na dół do holu, aby zadzwonić. Wykręciła numer drżącą ręką. Usłyszała sygnał, ale nikt nie odpowiadał. Spojrzała na zegarek: była dopiero ósma. Może został w biurze po godzinach?

Wróciła do siebie i usiadła ciężko w fotelu. Ogarnęła ją rozpacz i przygnębienie. Wszystko przepadło. Dlaczego George do niej nie zadzwonił? Pani Cranford wzbraniała się przyjmować wiadomości, ale jeśli się ją przycisnęło, zawsze się ugiwała. A może George rzeczywiście myśli, że jest winna, pomimo jej wielokrotnych zaprzeczeń. Na ile, w końcu, go znała? Wątpliwości zaczęły się wkradać tam, gdzie przedtem wszystko wydawało się takie oczywiste. Z upływem wieczoru wpadała w coraz większą depresję. O dziewiątej zeszła jeszcze raz na dół i wykręciła jego numer. Znowu cisza. Wracając do

pokoju, zignorowała pytające spojrzenie hotelarki. Wtedy w drzwiach pojawiła się Cynthia.

- Uu, ale zimno. - Zobaczyła Mary Beth koło windy i krzyknęła za nią: - Hej, Mary Beth, poczekaj!

Ale ona nie była w nastroju do rozmowy z kimkolwiek. Bała się, że pod najdrobniejszym pretekstem wybuchnie płaczem. Poczekwała jednak, aż Cynthia do niej dojdzie. Ta już z daleka zobaczyła, w jak opłakanym stanie jest Mary Beth, i z niepokojem zapytała:

- Co się dzieje?

To wystarczyło: wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Na szczęście zjechała winda i Cynthia mogła ją wprowadzić do środka, zanim pani Cranford zorientowała się, że coś się dzieje. W windzie Cynthia starała się ją uspokoić; objęła ją ramieniem i szeptała łagodnie:

- No, daj spokój. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Nie wpłynęło to jednak w żadnym stopniu na Mary Beth, która dalej szlochała histerycznie, i dopiero w pokoju, po zamknięciu drzwi, zdołała się nieznacznie uspokoić.

- Przepraszam, Cynthia.

- Nie ma za co przepraszać.

- Tak mi wstyd. Powinam się trochę kontrolować.

- No... nieważne. Jakkolwiek by było, lepiej to zawsze z siebie wyrzucić.

- Poczekaj chwilę; wymyję sobie twarz.

- Na pewno już lepiej?

- Tak - błady uśmiech zamajaczył jej na twarzy - teraz czuję się lepiej.

- Dobrze. Poczekać na ciebie?

- Nie chciałabym ci sprawiać kłopotu.

- Kłopotu? Nie bądź głupia. Nie mam zresztą nic innego do roboty. A może wybierzemy się na kawę jak wrócisz? Obu nam dobrze zrobi.

- Okay.

W kawiarni Mary Beth zaczęła wyjaśniać:

- Wylano mnie dzisiaj z pracy.

- I tak strasznie płakałaś? To Nixon tyle nie płakał, kiedy rezygnował z prezydentury.

To miał być żart, ale wyraz twarzy Mary Beth dobitnie świadczył, że daleko jej było do śmiechu. Cynthia poprawiła się:

- No dobrze, przepraszam. Nie chciałam. A teraz poważnie: wiem, że to może być cios, ale to jeszcze nie koniec świata.

- To nie wszystko.

- Aha.

I Mary Beth opowiedziała jej wszystkie wydarzenia ostatnich dni, łącznie ze swoim związkiem z George'em i zazdrością Claire Volney.

- Ładnie. Jak na spokojną dziewczynę to miałaś nieźle pokomplikowane życie przez te ostatnie parę miesięcy.

- Wiem.

- I co myślisz teraz zrobić z tym wszystkim?

- Nie dbam o pracę, ale zależy mi na George'u. I tak jeślibyśmy zaplanowali małżeństwo, to wcześniej czy później musiałabym się zwolnić.

- Zatem wszystko, czego potrzebujesz, to upewnić się, że twój związek z George'em wyszedł z tej całej sprawy bez szwanku. Ale jeśli Volney to zaplanowała, to właśnie po to, żeby on ci przestał ufać.

- Wiem.

- I chociaż sama osobiście chętnie bym wydrapała oczy tej wiedźmie, to nie miałoby najmniejszego znaczenia, bo dopóki George nie odzyska zaufania do ciebie, nie stanie w twojej obronie.

Zabolały ją te słowa, ale to była prawda. Kluczem do całej sprawy był George.

- Cynthia, co ja mam teraz zrobić?

- Po pierwsze: przestań płakać - to i tak nic nie pomoże, po drugie: jutro będę na śniadaniu u Maxa i postaram się z nim porozmawiać.

- A jak nie będzie chciał się ze mną zobaczyć?

- Jeżeli tak ma być, to lepiej się o tym przekonać od razu, prawda?

- Chyba masz rację.

- A poza tym, myślę, że możesz się porozglądać za nową pracą. Wprawdzie to nie jest najlepsza pora, bo nikt się nie zwalnia przed Nowym Rokiem, ale zawsze...

Spojrzała na Cynthię. Przyjaciółka dała jej najlepszą radę z możliwych, a jednak trudno było ją zaakceptować. Jeszcze w zeszłym tygodniu była w siódmym niebie, a teraz zdyskredytowana w oczach ludzi, musiała się rozglądać za nową pracą.

- Ona nigdy mi nie da dobrych referencji.

- Lepiej, żeby to zrobiła, bo przecież możesz ją podać do sądu pracy o zwolnienie bez powodu.

- Jak to bez powodu? Volney twierdzi, że ja posłałam ten rejestr.

- Ale nie ma dowodu. To tylko ona tak twierdzi. Gdyby nie to, że ta cała sprawa jest powiązana z tobą i George'em, zdecydowanie radziłabym ci to zrobić. Chodzi przecież o twoją reputację.

- Nie mogłabym mu tego zrobić - Mary Beth pokiwała głową.

- No tak, nie mogłabyś. Ale możesz mu pozwolić, żeby cię tak zostawił bez słowa.

- Prawdopodobnie jest w szoku - próbowała go bronić.

- A ty nie?

- Kocham go, Cynthia - powiedziała po cichu jako ostateczny argument.

- Okay. To chyba tyle. Teraz wracamy do siebie, bo musisz się porządnie przespać.

Następnego ranka postanowiła odłożyć spotkanie z George'em, ale Cynthia nie dała jej spokoju. Kiedy jeszcze leżała w łóżku, usłyszała pukanie do drzwi.

- Mary Beth, idziemy zaraz na śniadanie.

- Idź beze mnie.

- Nie ma mowy. Leżenie w łóżku niczego nie rozwiąże.

- Okay. Spotkamy się u Maxa - zgodziła się niechętnie.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Kiedy weszła do baru, zastała ją siedzącą z Billem. Starając się zachować pozory normalności, zapytała:

- Nie spóźnisz się?

- Nic się nie bój - będę na czas: moja karetka czeka.

- Mary Beth, co zjesz?

- Jajecznica z szynką i grzanki.

- Już podaję.

Od razu zauważyła, że George'a nie było w barze. A pora była taka, że powinien być. Wyszła z hotelu tak, żeby dojść na miejsce wtedy, kiedy zwykle kończył śniadanie.

- Co nowego, Mary Beth?

- Nic. A u ciebie?

- To samo. Sieję postrach wśród wszystkich kierowców w San Francisco.

- Zobaczysz, że zrobisz sobie coś kiedyś.

Machając ręką, Bill odpowiedział: *Che sara sara*, a potem zaczął nucić tę melodię. Jego zachowanie przywróciło Mary Beth lepszy humor. Cynthia również się uśmiechnęła, ale nie spuszczała oczu z Mary Beth, która co jakiś czas spoglądała w kierunku drzwi. George nie przychodził.

- Muszę już iść - głos Cynthii zdawał się przeproszać, jak gdyby nie po myśli jej było zostawiać przyjaciółkę samą.

Bill momentalnie skoczył na równe nogi.

- Do usług, madame. Mary Beth, przejedziesz się też?

- Nie. Dziękuję Bill. Skończę śniadanie.

Cynthia pochyliła się nad stołem i ucałowała ją w policzek.

- Nie martw się o nic. Wszystko się jakoś ułoży.

Mary Beth zmusiła się do uśmiechu. Wolałaby raczej, żeby jej przyjaciele nie byli tak dobrzy dla niej. Zanieczyli ich, kiedy spotykała się z George'em, a teraz - w potrzebie - oni byli na miejscu.

- Jeszcze kawy? - zapytał Max.

- Nie. Dziękuję, Max. Będę musiała iść.

Wstała i zapłaciła rachunek. Wyszła na grudniowe, chłodne powietrze. Po raz pierwszy zauważyła, że Max udekorował świątecznie wystawę. Nie bardzo miała ochotę wracać do hotelu. Gdyby pani Cranford zobaczyła ją tam o tej porze, z pewnością by się domyśliła, że coś nie gra, a nie chciała jej mówić, że ją zwolniono. Niemniej jednak nie miała wyboru, jeżeli nie chciała spędzić całego dnia spacerując po chłodnych ulicach San Francisco.

Weszła do holu i z radością spostrzegła pana Bentley'ego w recepcji. Pozdrowił ją uprzejmie i zapytał:

- Wolny dzień, pani Anderson?

- Mniej więcej.

Weszła do pokoju, usiadła w fotelu i zaczęła czytać. Nie bardzo jej to szło, więc po chwili, znudzona książką i sobą, rzuciła ją na łóżko i zaczęła się przechadzać po pokoju. Miała przed sobą kilka możliwości. Mogła rzucić to wszystko i wrócić do Sedalii. Mogła spróbować znaleźć inną pracę. W końcu, mogła też usiąść i rozczulać się nad własnym losem. Tak naprawdę to odpowiadało jej tylko poszukiwanie nowej pracy. Ale co będzie, jeśli ją znajdzie, a George nie wróci do niej? Czym stanie się dla niej to miasto? Kochała go. A może tak właśnie miało być? Może to miała być krótka przerwa w jej nudnym życiu. Przyjechała do San Francisco w poszukiwaniu odmiany, znalazła ją i na koniec miało przyjść rozczarowanie. Tak miało być? Dlaczego George nie dzwoni? Nawet po to, żeby powiedzieć, że wszystko skończone. To byłoby lepsze od siedzenia tutaj i uzalania się nad sobą.

Zdesperowana, chwyciła płaszcz i wyszła po raz drugi. Bezwiednie skierowała się w stronę biura. Stała chwilę przed budynkiem. Kiedy miała odchodzić, niespodziewanie go zobaczyła. Wychodził właśnie z biurowca z ogromną teczką w ręce. Mimowolnie wykrzyknęła jego imię.

Na jego dźwięk, odwrócił się, a ona pobiegła w jego kierunku. Wyraz jego twarzy zatrzymał ją o kilka kroków przed nim. Usłyszała pusty, obojętny głos:

- Mary Beth?

- Tak, George - odpowiedziała cicho i prawie z przestraszeniem, bo wydawał się tak chłodny i daleki.

- Jak się masz?

Teraz, kiedy zobaczyła, że nie chce jej widzieć ani z nią rozmawiać, poczuła się okropnie. Zmusiła się, by odpowiedzieć, że dobrze, ale to było wszystko. Stali tak i patrzyli na siebie bez słowa.

A tyle było do powiedzenia.

W końcu George przerwał ciszę:

- Muszę już iść.

Skinęła, a on się odwrócił i przywołał taksówkę. Patrzyła za nim, aż zniknął za zakrętem, odwróciła się i poszła wolno do hotelu. Zanim tam doszła, była już zdecydowana, co zrobi.

Zamówiła rozmowę z ciotką. Kiedy została połączona, usłyszała znajomy głos:

- Dlaczego dzwonisz na mój koszt? Masz jakieś kłopoty? - Mary Beth przymknęła oczy. Jak przyjemnie było słyszeć ten wiecznie narzekający - a jednak swojski i uspokajający - ton.

- Nie, ciociu. Dzwonię z automatu i nie mam drobnych.

- A! To dobrze. Ale dlaczego dotychczas nie dzwoniłaś. Wszystko w porządku?

- Tak, ciociu - i aby pozbawić ją możliwości dalszych pytań, przeszła od razu do sedna sprawy: - Myślałam, żeby przyjechać na święta. To znaczy, jeśli nie masz innych planów...

- Wspaniale. Jakich innych planów? Jesteś ostatnią z rodziny, która mi pozostała, i byłoby okropne spędzać święta bez ciebie. Kiedy przyjeżdżasz?

- Gdzieś w środku tygodnia.

- Tak się cieszę. Daj znać, kiedy dokładnie przyjedziesz. Przygotuję pokój.

- Dziękuję, ciociu.

- Nie dziękuj mi. Sama bardzo się cieszę, że tu będziesz.

Odłożyła słuchawkę z poczuciem winy. Nie były to odwiedziny z wyboru. Gdyby wszystko ułożyło się po jej myśli, to spędzałaby święta z George'em i jego rodziną.

Teraz należało zadzwonić do linii lotniczych, a następnie porozmawiać z panią Cranford. Kiedy udało się jej zarezerwować lot do St. Louis na następny wtorek, poszła do recepcji, gdzie zastała właścicielkę piszącą coś przy biurku.

- Przepraszam, pani Cranford.

- Tak?

- Chciałam powiedzieć, że wyprowadzam się w przyszły wtorek.

- Na stałe?

- Nie wiem.

- Mogę zapytać, dokąd pani jedzie?

- Oczywiście. Wracam do domu na święta, a co potem - nie wiem.

- A co z pani pracą? Wydawało mi się, że jest pani zadowolona.

- To już historia.

- Rozumiem.

- Gdybym się zdecydowała wrócić do San Francisco, to czy znajdę u pani pokój?

- Oczywiście, ale mamy teraz komplet. Jak pani wróci, może nie być wolnych miejsc.

- Zaryzykuję.

Mary Beth była tak przygnębiona, że pani Cranford - mimo naturalnej niechęci do mieszania się w sprawy gości - nie mogła nie zapytać:

- Czy coś się stało, moje dziecko?

- Nie, pani Cranford.

Hotelarka nie wierzyła ani jednemu jej słowu, ale że nie należała do kobiet, które lubią się wtrącać w cudze sprawy, powiedziała tylko:

- To może proszę zadzwonić, kiedy będzie pani myślała o przyjeździe. Dam znać, czy mamy jakieś wolne pokoje.

- To bardzo miło z pani strony.

- Ależ skąd, Mary Beth. Jesteś bardzo miłym gościem i przykro mi, że zdecydowałaś się wracać do domu.

- Mnie też.

Podróż do St. Louis nie była zbyt przyjemna. Cały czas myślała o George'u, który się z nią nie skontaktował. Nie mogła uwierzyć, że zapomniał o niej z powodu tak drobnego incydentu. Nawet jeśli przez nieuwagę wysłała ten rejestr do Lowenstena, to nie zrobiła tego celowo. A może to i lepiej? Przyszłość z człowiekiem, który potrafi się kompletnie zmienić z takiego powodu, nie wróżyła dobrze. Jak mogła go aż tak źle ocenić? Nic w jego wcześniejszym zachowaniu nie przygotowało jej na ten zimny prysznic. Dobrze: nie miała doświadczenia z mężczyznami - to fakt, ale czy rzeczywiście mogła tak dać się nabrać na ten bajeczny uśmiech i zniewalający głos?

Łzy napłynęły jej do oczu. Lepiej zapomnieć o nim. Zapomnieć o tym spojrzeniu, które mogło dowolnie kształtować jej serce. Była bliska stwierdzenia, że George i Claire Volney zasługiwali na siebie, ale nie posunęła się tak daleko. No właśnie - Claire Volney, żmija. Podstępna, kłamliwa, zdradziecka żmija.

Jej myśli przerwała zapowiedź, że zbliżają się do St. Louis. Zapięła pasy. Bliskość rodzinnych stron skierowała jej myśli na ciotkę i Sedalię. Czy to możliwe, że takie miasto albo taka kobieta mogą się zmienić przez kilka miesięcy? Pewnie tak - ja się zmieniłam, i to bardzo.

Nie zgodziła się, aby ciotka wyjechała po nią. Z dworca w Sedalii wzięła taksówkę. Kazała się zawieźć do ciotki tak, aby po drodze minąć swój dom. Gdy na niego patrzyła, rozczarowała się: - wyglądał ponuro. Jak to się stało, że jego obraz w pamięci był tak żywy i ciepły? Cóż może porabiać pani Pinelli? Pewnie coś gotuje, szczególnie teraz - na święta. Zawsze potrafiła gotować wszystko, co tylko można było wymyślić. Trzeba ją będzie koniecznie odwiedzić.

Ciągle jeszcze nie była zdecydowana, czy zostanie na stałe. Nawet jeśli tak, to raczej nie zamieszka w starym domu: jest stanowczo za duży jak na jedną osobę. Trzeba będzie poszukać małego mieszkania.

Zajechali pod dom ciotki. Zapłaciła kierowcy, który wyciągał jej bagaż i układał na chodniku. Jednocześnie otworzyły się drzwi do domu i na zewnątrz wybiegła ciotka.

- Mary Beth, Mary Beth.

Ciotka objęła ją ramieniem i zaczęła całować nie przestając mówić:

- Jak dobrze, że jesteś! Pozwól, niech na ciebie popatrzę. Wyglądasz cudownie!

Chodź! Wejźmy do środka. - I porwała ze sobą jedną z walizek.

- Ja to zrobię, ciociu.

- Nie. Pospieszmy się, musisz mi opowiedzieć wszystko o San Francisco.

Weszły do środka i ciotka Blanche położyła walizkę na podłodze w holu.

- Zostawmy to teraz tutaj i chodź coś zjeść.

- Dziękuję. Jadłam w samolocie.

- No to napij się herbaty, a ja coś zjem.

Uśmiechnęła się. Ciotka mówiła jak kapral - nie było mowy o jakimkolwiek sprzeciwie. Przyjrzała się jej bliżej i spostrzegła, że ciotka się postarzała. Kiedy weszły do kuchni, z zastawionym oczywiście już wcześniej stołem, ciotka nastawiła wodę na herbatę.

- Pomóc w czymś?

- Nie. Po prostu usiądź i opowiadaj. Wszystko: od wyjazdu.

Opowiedziała jej o swojej pracy, o Billu i Cynthii i nawet wspomniała ściśle reguły, które obowiązywały w hotelu pani Cranford.

- Cóż, cieszę się, że nie jest tak jak ludzie opowiadają. Muszę ci powiedzieć, że bardzo się martwiłam cały czas, jak cię nie było, że może ci się przytrafić coś złego. Dzięki Bogu, nic się takiego nie stało i jesteś znowu w domu.

- A jak tobie się wiodło, ciociu - spytała Mary Beth zmieniając temat.

- No... tu i tam coś zabolę, jak to staruszkę, ale poza tym w porządku.

Nie wyglądała dobrze, ale Mary Beth nie chciała teraz naciskać. Przez moment wyobraziła sobie siebie opiekującą się ciotką. Przeszły do pokoju gościnnego i ciotka zdecydowała, że trzeba rozpaść w kominku.

- Dobrze, ja to zrobię.

Tym razem ciotka nie protestowała. Mary Beth poradziła sobie bez zarzutu, znajdując ogromną przyjemność w rozpalaniu ognia.

- Jedną z rzeczy, jakich mi brakowało, to przestrzeni, takich jak w tym domu i kominka. Pokój hotelowy może być bardzo bezosobowy.

- Wyobrażam sobie, że to wszystko musiało być bardzo obce i dziwne. Wyznam, że oczekiwałam, iż wrócisz w przeciągu miesiąca, i przyznaję się, że gdy się tak nie stało, byłam rozczarowana.

- Byłam bardzo szczęśliwa w San Francisco.

- Byłam? - podchwyciła szybko ciotka, a Mary Beth ugryzła się w język. - Już nie jesteś?

- Nie, nie o to chodzi. Teraz jestem tutaj.

Ciotka obserwowała ją bacznie. Dziewczyna niewątpliwie wypiękniała przez ten czas. A może zawsze była taka, tylko nikt nie zauważył? A jednak - mimo urody - dostrzegała jakiś smutek: na twarzy, może w oczach; smutek ledwie zauważalny, chyba że dla kogoś, kto ją kochał. Obiecała sobie nie dopytywać się. Była tak szczęśliwa, że ma ją u siebie, że bała się mówić i robić coś, co by mogło ją zrazić.

- Miałam zamiar przez weekend kupić choinkę, ale potem pomyślałam, że poczekam do twojego przyjazdu i zrobimy to razem.

- Świetnie. Choć szkoda, że nie pójdziemy - jak dawniej - same ściąć.

Mary Beth poczuła, jak serce jej się ściska na wspomnienie tego bajecznego dnia, kiedy wyjechali z George'em za miasto w poszukiwaniu drzewka na święta.

- Potrzebujemy tutaj mężczyzny, Mary Beth. - Strzeliła w ciemno, ale po reakcji bratanicy wywnioskowała, że kogoś musiała mieć w San Francisco.

- Zgadzam się, ale w tym roku będziemy zdane na siebie.

Ciotce Blanche spodobał się sposób, w jaki odpowiedziała. Dzięki Bogu, stała się o wiele dojrzała. Może myśli, że jestem chora i kiedy odejdę, nie będzie miała nikogo?

- Słuchaj, wiedziałam, że nie będziesz mieć nic przeciwko temu, więc zaprosiłam kilku znajomych w czasie świąt.

- Cieszę się.

W następne dni pomagała ciotce Blanche przygotowywać świąteczne potrawy i stroić drzewko. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek jej się tak dobrze układało z ciotką. Widać było, że jest bardzo ostrożna i zwraca uwagę na swoje zachowanie, by się jej przypodobać. Kiedyś odwiedziły panią Pinelli i w drodze powrotnej Mary Beth poruszyła temat domu:

- Myślę, że powinnyśmy wystawić dom na sprzedaż.

- Dom?

- Tak, ciociu. Nawet jeśli zdecyduję się wrócić do Sedalii, to nie chcę mieszkać sama w tym dużym, starym domu.

- Sądzę, że to jeden z twoich lepszych pomysłów. Wybierzemy się do jakiegoś pośrednika przed twoim wyjazdem. A co myślisz zrobić z meblami?

- Niektóre chciałabym zatrzymać na pamiątkę; pozostałe można sprzedać.

Zająłabyś się tym?

- Na pewno chcesz je sprzedać?

- Tak.

- Te, które chcesz zatrzymać, złożę u siebie w piwnicy. Rozsądna decyzja, moje dziecko. Nie ma sensu płacić podatków i wszystkie te koszty utrzymania, jeżeli nie masz zamiaru tam mieszkać.

Nadeszły święta, a wraz z nimi pierwszy śnieg tego roku. Tak jakby Bóg zadecydował, że te święta mają być takie jak na kartkach świątecznych. Ogień huczał w kominku, a cały dom ogarnęła świąteczna atmosfera. Mary Beth przystawała przy oknie i patrzyła, jak ogromne płatki śniegu spadają miękko na ziemię. Zastanawiała się, czy w San Francisco też pada. Czy tam w ogóle kiedykolwiek pada śnieg? - nie miała pojęcia. Chwilami żałowała, że uciekła od tego wszystkiego. Czy zachowała się jak tchórz? Może powinna była wytrwać do końca? Nie. - Nie należała przecież do osób, które potrafią mężnie stawić czoło przeciwnościom. Nie usłyszała, kiedy ciotka weszła do pokoju, dopiero jej głos przerwał jej rozmyślenia:

- Wydaje się, że jesteś daleko stąd.

- Wcale nie, ciociu. Właśnie patrzyłam na spadający śnieg. Wszystko jest tak cudownie pokryte śniegiem.

- Tak. Rzeczywiście dopiero teraz czuję, że są święta. - Już ci to mówiłam parę razy, Mary Beth, ale naprawdę ogromnie się cieszę, że przyjechałaś tu na święta.

- Miło mi, ciociu, że mogę ci sprawić trochę radości.

Ciotka chciała ją znowu zapytać, co siało się w San Francisco, ale bała się, że mogłaby popsuć tym atmosferę, czego starała się uniknąć za wszelką cenę. Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, obie spojrzały na siebie.

- Czekasz na kogoś, ciociu?

- Nie. Pójdę zobaczyć, kto to.

Ciotka zeszła na dół, a ona dalej stała przy oknie patrząc na opadające płatki. Ciotka wróciła po chwili wyraźnie podniecona.

- Przyszedł jakiś mężczyzna i pyta o ciebie.

- Mężczyzna?

- Tak. Nazywa się George Walker.

Dźwięk tego imienia podziałał na nią jak wstrząs. Zatoczyła się lekko i dopiero oparłszy się o ścianę znieruchomiała i wstrzymała oddech. Tymczasem George, nie czekając na zaproszenie, wszedł do pokoju.

- Dzień dobry, Mary Beth - oczy mu promieniały na jej widok.

Odpowiedziała, a raczej wykrztusiła powitanie dopiero po chwili, gdy doszła do siebie. Ciotka oczywiście zdążyła się już zorientować, że to był ten „ktoś” z San Francisco, i zapytała:

- Mary Beth, nie przedstawisz mnie?

- Przepraszam, ciociu, to jest George Walker z San Francisco.

George podszedł do ciotki i uścisnął jej dłoń.

- Czy mogę wziąć pański płaszcz? Zostanie pan na jakiś czas, prawda?

- Jeśli tylko Mary Beth się zgodzi...

- George... - krzyknęła Mary Beth i pobiegła w jego kierunku.

Ciotka spojrzała na nich porozumiewawczo, wzięła płaszcz i wyszła zostawiając Mary Beth w ramionach George'a.

- Dlaczego uciekłaś?

- Myślałam, że mnie już nie kochasz.

- Odchodziłem od zmysłów, kiedy nie znalazłem cię w hotelu. W końcu udało mi się przekonać tę twoją przyjaciółkę, Cynthię, by dała mi twój adres. Ta pani Cranford jest straszna. Nic, ale to nic mi nie powiedziała.

Na myśl o hotelarce obydwójce wybuchnęli śmiechem. Usiedli przed kominkiem trzymając się za ręce, jak gdyby każde obawiało się, że drugie może zniknąć.

- George, twoje dzieci! - wykrzyknęła nagle Mary Beth - zostawiłeś je.

- W porządku. Wyjaśniłem im wszystko. Dały mi swoje błogosławieństwo i przykazały - jeśli oczywiście się zgodzisz - żebym cię przywiózł z sobą.

Chciała mu powiedzieć, że o niczym bardziej nie marzy, ale wcześniej pozostawała jeszcze sprawą brakującego rejestru i Claire Volney.

- George, co się stało z tym rejestrem?

- Wyobrażam sobie, co musiałaś sobie myśleć, kiedy do ciebie nie dzwoniłem. Ale chociaż wiedziałem, że mówisz prawdę, należało przekonać o tym moich współników. Mogłem zacząć działać dopiero po twoim zwolnieniu, i to właśnie ja namówiłem wszystkich, że należy cię zwolnić.

Mary Beth zmarszczyła brwi ze zdziwienia, a George wyjaśniał dalej:

- Musiałaś zniknąć z biura. Kiedy zacząłem moje własne dochodzenie, chciałem być pewien, że twoja obecność tam nie będzie miała wpływu na to, co robię. Claire chciała, żebyś została, bo widzisz, tak długo, jak mielibyśmy cię w biurze, twoja obecność kazałaby się zastanawiać nad twoją winą. Wiedziała, co robi.

- Ale dlaczego?

- Bała się. Chyba myślała, że małżeństwo ze mną to dla niej ostatnia szansa.

Widzisz... ona ma tyle lat co ja.

- I co? Ona jest winna?

- Z całą pewnością. I jak na kobietę, która spędziła taki kawał czasu w biurze z prawnikami, to działała jak amator.

- A jak przekazała im ten rejestr?

- Po prostu włożyła go do koperty, która miała być im przekazana.

- Jak się dowiedziałeś?

- To było najbardziej kłopotliwe, ale w końcu zadzwoniłem do tego prawnika z biura Lowenstena, do którego zaadresowana była ta przesyłka, i zapytałem go.

- Nie mogłeś tego zrobić od razu i zaoszczędzić mi tyle bólu?

- Nie, nie mogłem. Ten prawnik był nieobecny przez parę dni, a nie mogłem ryzykować, że inni się o tym dowiedzą. Musiałem czekać do jego powrotu.

Mary Beth dalej nie była przekonana, że działał w tamtej sytuacji zupełnie poprawnie, ale to przestało już mieć znaczenie. Wiedziała, że ją kocha - tylko to się liczyło.

Ciotka Blanche wróciła do pokoju.

- Obiad jest gotowy. Pan zostanie z nami, panie Walker?

- Jeśli tylko pani się zgodzi - George odpowiedział z rozbijającym uśmiechem.

- Ależ oczywiście, panie Walker - ciotka była oczarowana.

Podczas obiadu George zwrócił się do niej i zapytał:

- Nie pytałem jeszcze Mary Beth, ale czy pani mi pozwoli, bym ją zapytał, czy wyjdzie za mnie?

Ciotka promieniała.

- Niewiele o panu wiem, ale to, że pan przyjechał tu z San Francisco, żeby znaleźć Mary Beth, przemawia na pewno na pana korzyść.

- Wyjdiesz za mnie, Mary Beth?

- Tak, George.

